BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		**Z przesyłką pocztową:**	
Rocznie . (52 tomy).	rs. 10	Rocznie . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6	kop.	—
Półrocznie. (za 26 tomów). . .	„ 3	„	—
Kwartalnie (za 13 tomów). . . .	„ 1	„	50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Komitet redakcyjny:

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

SEKRETARZ REDAKCYI
Edward Nicz.

WYDAWCY
Granowski i Sikorski.

REDAKTOR
Franc. Jul. Granowski.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 50.

STELLA

Tarłówna



Adama Krechowieckiego

z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.

Cena 40 kop

W prenumeracie 30½ k

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya:

47. Nowy-Świat 47.

1898.

Adam Krechowiecki.

STELLA.

TARŁÓWNA.

Z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Sikorskiego.
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Ценѕурою.
Варшава, 22 Августа 1898 года.

Adam Krechowiecki.

Kołyskę Adama Krechowieckiego owiewało „tchnienie literackie.“ Dom jego ojca w Leszczynowie, w powiecie humańskim, łączyły bardzo serdeczne stosunki z Henrykiem Rzewuskim, Michałem Grabowskim, Bohdanem Zaleskim, Sewerynem Goszczyńskim i Aleksandrem Grozą. Goszczyński napisał w Leszczynowie „Zamek Kaniowski,“ a Groza był nauczycielem autora „Veta.“

To otoczenie literackie wpłynęło oczywiście bardzo korzystnie na lotną wyobraźnię przyszłego pisarza, budząc w nim zamiłowanie do pióra i rzeczy swojskich

Adam Krechowiecki, urodzony w r. 1850, pobierał nauki średnie w gimnazyum żytomierskiem, studya zaś uniwersyteckie, na wydziale prawnym, odbył we Lwowie. Wstąpiwszy do austryackiej służby rządowej, przebiegł szybko drabinę hierarchii urzę-

dniczej. Zajmuje on obecnie wysokie stanowisko radcy namiestnictwa galicyjskiego, jest redaktorem „Gazety Lwowskiej“ i szambelanem dworu cesarza Franciszka-Józefa.

Zanim krytyka pomieściła Adama Krechowieckiego w pierwszym szeregu współczesnych belletrystów polskich, próbował on już dawno przedtem sił swoich na polu literatury pięknej. Drukował od dwudziestego roku życia w dziennikach galicyjskich drobniejsze utwory wierszem i prozą, podpisując się pseudonimami „Bukatko“ albo „Maryan.“

„Znanym“ jest Krechowiecki właściwie dopiero od r. 1887, w tym bowiem czasie wydał swoją pierwszą powieść historyczną p. t. „Starosta Zygwulski.“ Dzieje „dyabła“ Stadnickiego, który jest bohaterem tej powieści, odtworzone z plastyką i werwą, zdobyły ukrywającemu się dotąd pod kryptonimami autorowi odrazu szeroką poczytność i, co za tem idzie — głośne imię literackie.

Zachęcony powodzeniem, napisał Krechowiecki w r. 1889 czterotomowe „Veto,“ w które włożył, oprócz talentu, dużo erudycyi i staranności. Smutnej pamięci postać posła upitskiego, wyklęta przez potomność, znienawidzona nawet w podaniach ludowych, odcina się ponurym cieniem od barwnego tła rozkładającej się Rzeczypospolitej. Nieszczęsne *Veto* Sicińskiego wpadło iskrą w nagromadzony materyał

rozkiełznanych namiętności „królewiąt.“ Buchnął żółty płomień niezgody i oblał cały kraj jaskrawym blaskiem rokoszów.

Ten moment zwrotny w naszych dziejach odczuł Krechowiecki sercem obywatela i odmalował go z wielką siłą.

Nad czynnością trzeciej powieści historycznej Krechowieckiego p. t. „Szary wilk“ (1892 r.) panuje gwałtowny Maćko Borkowicz, wojewoda poznański, typ oligarchy w najgorszem znaczeniu. Takiego buntownika mógł poskromić tylko taki król, jak Kazimierz Wielki.

Obecnie, po dłuższej przerwie, pracuje Krechowiecki nad większą powieścią historyczną, obejmującą schyłek panowania Jana Kazimierza, początek Michała Korybuta i Jana Sobieskiego. Pierwsza część tego dzieła p. t. „Ostatni dynasta“ ukazała się już w Petersburgu, nakładem księgarni Grendyszyńskiego.

Jako powieściopisarz historyczny, odznacza się Krechowiecki bardzo starannem podmalowywaniem tła. Odtwarzaną epokę bada z troskliwością uczonego, wertuje i przetrawia cały istniejący materyał naukowy, studyuje pilnie stronę obyczajową danej chwili dziejowej. Jego talent nadaje się najlepiej do scen dramatycznych. Tam, gdzie się wielkie namiętności ścierają, umie autor *Veta* rozgrzać siebie i czytelnika.

Oprócz obrazów historycznych, napisał Krecho-

wiecki kilka powieści współczesnych, których przednią zaletą są doskonale postawione i z subtelnością wytrawnego znawcy natury niewieściej wycieniowane charaktery kobiece. Lecz nie zwykły tylko romans jest celem: „Najmłodszych“ (1893), „Jestem“ (1894), „Kresu“ (1895) i „Rdzy“ (1898). Wytrawny znawca natury niewieściej patrzy w duszę swojego społeczeństwa, widzi i odsłania jej plamy, stara się być psychologiem i malarzem swojego czasu wogóle, co mu się bardzo dobrze udaje.

Do zalet talentu Krechowieckiego należy dodać zawsze czysty, żadną obcą przymieszką nie skażony język, czem się niewielu autorów, piszących w Galicyi, może poszczycić.

Teodor Jeske-Choiński.

STELLA.

Lorenzo był rybakiem. Od lat kilkunastu znany był wszystkim mieszkańcom uroczej Casamiccioli i wszystkim podróżnym, zwiedzającym wyspę Ischię. Mówił biegle po włosku, ale z cudzoziemskim akcentem; zapytywany o swe pochodzenie, Lorenzo nie odpowiadał zwykle nic, a czasem odrzekł tylko: „Z dalekich stron jestem“ — i ręką machał. Mówiono wszakże i twierdzono napewno, że Lorenzo nie był ani Francuzem, ani Niemcem, lecz Polakiem, może dlatego, że na obczyźnie najwięcej spotkać można Polaków, kolejami losu zagnanych w dalekie strony i zarabiających na kawałek chleba bardzo ciężko, a kryjących pilnie swą przeszłość inną, świetniejszą, przed ciekawością natrętnych.

To ukrywanie się, a raczej to milczenie, jakiem odpowiadał Lorenzo na niedyskretne pytania, było zapewne pierwszym powodem, że postać biednego rybaka otaczać począł urok tajemniczości. Pokazywano go podróżnym, jako jedną z ciekawości wyspy... „*Un misterioso uomo*,“ mówiono o nim, a jeden z kom-

pozytorów muzycznych, bawiący czas jakiś na Ischii, ułożył piosnkę znaną powszechnie we Włoszech, a rozpoczynającą się od słów zastosowanych do Lorenza:

Son un uomo, bruno, bruno,
Misterioso...

Urok tajemniczości, otaczający Lorenza, podnosiła jeszcze i sama powierzchowność jego. Uderzał on odrazu nie tyle pięknością rysów twarzy, ogorzałej od promieni słonecznych i wichrów morskich, jak raczej szlachetnością całej postawy, zręcznością i niezwykłą w prostym rybaku elegancyą ruchów, wyrazem oczu niewymownie pięknych, mieniących się jak toń morza rozmaitemi barwy, a błyszczących dziwnie przejmująco. Ciemny zarost twarzy i płeć bardzo śniada potęgowały jeszcze ten blask oczu, pociągający magnetycznie. To też kobiety patrzyły na Lorenza z ciekawością i wielkiem zainteresowaniem; niejedna byłaby chętnie podjęła się rozproszyć mgłę smutku sposępniającą jego piękne, wyniosłe czoło, okolone ciemnemi, bujnemi włosami; niejedna byłaby ofiarowała wiele, bardzo wiele, aby zbadać tajemnicę biednego rybaka i przeszłość jego, która w wyobraźni podrażnionej ciekawością, przedstawiała się wielką, świetną, a bardzo nieszczęśliwą, pełną zawodów, katastrof, rozczarowań serca...

Ale Lorenzo nie zwracał uwagi na spojrzenia kobiet i sam na nie nie patrzył nigdy. To znaczy— nie patrzył miłośnie, bo zresztą okazywał wielką, niezwykłą cześć dla niewiast. Nie słyszano nigdy, aby się uniósł lub przykre powiedział słowo jakiejkolwiek kobiecie; nie słyszano z ust jego żadnego lekceważą-

cego wyrazu lub płochego o kobietach żartu. Dziwiono się temu tem więcej, że Lorenzo był młody, a do uniesień skłonny. Zachwycał się łatwo pięknością natury; nieraz godzinami stał na wybrzeżu i przypatrywał się burzy szalejącej na morzu, nieraz wybiegał zrana patrzeć na wschód słońca, gdy różowemi promieniami oblewało lazurową otchłań morską; nieraz w letni pogodny wieczór przechadzał się długo samotny po wybrzeżu, w zamyśleniu posępnem, to nucąc jakąś piosnkę dziwnie tęskną, to wymawiając jakby bezwiednie wyrazy, brzmiące nie swojsko dla Włochów, ale dobrze zrozumiałe nad Wisłą, Niemnem i Dnieprem.

Artystyczną miał duszę. Zkąd się wziął ten zapał dla sztuki w sercu biednego rybaka? któż mógł odgadnąć! Nazywano go fantastykiem i dziwakiem, a może i szaleńcem, bo miewał wybryki dziwne. Czasem znikał z Casamiccioli na parę tygodni, a potem opowiadano sobie, iż widziano go we Florencyi, Neapolu, Rzymie, zwiedzającego muzea i zabytki. Mówiono, że raz we Florencyi, zwiedzając pałac Pittich, stał kilka godzin w zachwycie przed Rafaelowską Madonną *del Granduca*, aż wreszcie omdlał ze znużenia i głodu, podróże swe bowiem odbywał pieszo i bardzo oszczędnie, często o kawałku chleba na dzień cały. Po tym wypadku zachorował nawet ciężko, długo leżał w szpitalu florenckim, aż go ledwie wyleczonego odesłano do miejsca zamieszkania w Casamiccioli.

Od tej pory Lorenzo zaniechał podróży, ale stał się jeszcze bardziej posępnym i milczącym. Widywano go teraz coraz częściej przechadzającego się w no-

ce księżycowe nad morzem i wyrzucającego z utęsknionej duszy jakieś dziwnie brzmiące wyrazy, których nikt z Włochów zrozumieć nie mógł, a które w ciszę nocną zapadały bez echa...

Wielkie zdziwienie ogarnęło wszystkich mieszkańców Casamiccioli, gdy się rozniosła wieść niespodziewana, że Lorenzo się żeni. On, chmurny, nieprzystępny, obojętnemi tylko względami darzący kobiety, żeni się! I z kim jeszcze! z córką równie jak sam ubogiego rybaka, nie odznaczającą się wcale wdziękami, najpospolitszą w świecie kobietą... Cóż go skłonić mogło do takiego związku? Rozmaite wysnuwano domysły, bo przecież miłości ze strony Lorenza przypuścić było niepodobna.

Ludzie wiedzą najlepiej, co się dzieje w sercu każdego z sąsiadów. Oni stanowczo zawsze i bez żadnych zastrzeżeń wydają wyroki o powodach i najtajniejszych nawet pobudkach czynów bliźnego. Świat ma pewne formułki, normy, zasady, od których nikomu odstąpić nie wolno; jeśli kto do tej nie przystaje miary, tem gorzej dla niego... Jeżeli komu przeszłość i życie goryczą napełniły serce, jeśli komu nie dano iść utartą drogą przepisanych z góry formułek, jeśli kto ma w piersi serce ognistsze, wyobraźnię bujniejszą, duszę do porywów skłonną, to może być pewnym, że powszechną zwróci na siebie uwagę i że każde jego słowo i czyn każdy poddane będą krytyce bezwzględnej. Jeżeli olśni świat wielkim czynem lub wiekopomnem dziełem, to ocalony... już mu wszystko wolno. Inaczej fantastykiem i dziwakiem zostanie na zawsze... A jakimże czynem heroicznym, jakiem nieśmiertelnem dziełem mógł Lorenzo przebła-

gać opinię swego otoczenia, które w nim widziało zwykłego rybaka, a burzę miotającą jego duszą nazywało poprostu szaleństwem?

Litowano się tedy powszechnie nad biedną Aminą, że losy swe związała niebacznie z dolą szaleńca. Litowali się zwłaszcza mężczyźni, którzy niezbyt lubili Lorenza, czując w nim upokarzającą ich wyższość; kobiety wzdychały, kiwając głowami, ale w tajnikach serc zazdrościły Aminie, bo Lorenzo był piękny i miał oczy błyszczące dziwnie, które magnetycznie pociągały ku sobie. Kobiety też opowiadały z przekąsem, że Amina od lat dawnych na Lorenza czyhała, rozkochawszy się w nim namiętnie; że go prześladowała miłością swoją, niezrażona jego obojętnem zachowaniem, że tę miłość gorącą, namiętną okazywała mu ciągle, aż wreszcie rozkruszyła serce zimnego rybaka.

Rozmaite wersye krążyły mniej lub więcej dla Aminy pochlebne. Niektóre z nich podnosiły miłość Aminy do bohaterstwa; mówiono np. że raz w czasie burzy, gdy Lorenzo niebacznie na swej łodzi puścił się na rozhukane fale, Amina sądząc, że ukochany jej tonie, oszalała z bólu rzuciła się w morze i byłaby zginęła, gdyby Lorenzo nie przyszedł jej z ratunkiem. Opowiadano znów, że było to w noc księżycową, kiedy Lorenzo przechadzał się nad morzem w napadzie szalonej tęsknoty... Amina przyszła wówczas do niego, rzuciła się przed nim na kolana i ofiarowała mu miłość swoją na pociechę...

Czy było tak lub inaczej — dość, że się Lorenzo ożenił. Ślub odbył się cicho, w obecności tylko rodziców Aminy i dwóch koniecznych świadków.

Oczekiwano z gorączkową ciekawością, co dalej nastąpi, a przypuszczano napewno, że Lorenzo ucieknie od tej żony, której kochać nie mógł.

Przypuszczenia wszakże nie ziściły się wcale. młodzi małżonkowie zamieszkiwali mały, ubogi dworek nad samem wybrzeżem, na wzgórku. Otaczało go kilka drzew cienistych i samotność, bo w pobliżu mieszkań nie było — i wielka cisza, mącona tylko miarowym oddechem morza w czas pogody, lub gwałtownym rykiem fal, rozbijających się o wybrzeże w czasie burzy.

Czy Lorenzo kochał żonę?... Był dobrym dla niej; to wszystko, co powiedzieć można; pamiętał o jej potrzebach, był zadowolony, gdy ją widział uśmiechniętą; obchodził się z nią bardziej przyjaźnie niż miłośnie.

Miłość Aminy była za to wówczas w pełnym rozwoju. Przeczuwała intuicyjnie tym dziwnym, niewytłómaczonym instynktem, który jest danym kobiecie, potrzeby duszy Lorenza. Sama bez wykształcenia żadnego, nie mająca żadnych estetycznych wymagań, Amina czuła, że Lorenzo to natura wyższa i wykwintna. Nie umiała tego nazwać, ale czuła to i starała się o ile możności zadość uczynić upodobaniom ukochanego męża.

Toż ubogie wnętrze mieszkania rybaka przyozdabiała, czem mogła i jak umiała; sama starała się wyglądać schludnie i być ładną; w rozmowach swoich z Lorenzem odzywała się mało, w obawie, aby nieumiejętnem lub niewłaściwem słówkiem nie podrażnić męża; za to słuchała pilnie i długo, słuchała, patrząc

mu w oczy, jak pies wierny, nie tając zachwytów swoich...

I oto dlaczego Lorenzo zaniechał był zupełnie artystycznych podróży i samotnych przechadzek nad morzem. I jemu zaczynało się robić dobrze w tej atmosferze ciepłej a nieupalnej, pozbawionej burz, cichej i samotnej. Dusza jego, przez dlugie lata szarpana walką wewnętrzną, odpoczywała.

Czasem wprawdzie zrywały się jeszcze w jego głowie myśli szalone... czasem wpatrywał się błyszczącem okiem w kopię Madonny del Granduca, przywiezioną z Florencyi, i mimowolnie wzdychał głęboko, snać do dawnych marzeń.. Ale to trwało krótko, a po każdem takiem chwilowem zapomnieniu wracał do Aminy tem czulszy i troskliwszy.

Ta kopia Rafaelowskiej Madonny miała szczególniejszy wpływ na Lorenza. Czy samo arcydzieło przemawiało tak silnie do jego artystycznej duszy, czy może podobieństwo cudownych rysów Matki Bożej do dawniej widzianej, a może kochanej kobiety? Tego Lorenzo nie mówił nikomu.

Raz — było to w pierwszym roku po ślubie z Aminą — wzrok jego, prawie przemocą ku obrazowi temu pociągnięty, długo odeń oderwać się nie mógł; Lorenzo poczuł w swej duszy niewygasły ogień dawnych zapałów i szałów i postanowił natychmiast oddalić od siebie stanowczo to niebezpieczeństwo. Noc całą spędził bezsennie. Zatrwożona Amina pytała go i wzrokiem i słowem, co mu się stało, czy cierpi, czy chory? ale Lorenzo po raz pierwszy zbywał milczeniem pytania, a zrana wyprawił Aminę pod jakimś pozorem z domu. Postanowił zniszczyć

obraz tak dziwnie nań oddziaływający i sądził, że po wyjściu Aminy uskuteczni to łatwo bez wahania. Cóż bo łatwiejszego wistocie, jak taki niewielki obrazek rzucić w ogień lub w morze?

Usiadł przy stole, głowę wsparł na obu rękach i zwolna, jakby z lękiem, podniósł wzrok ku obrazowi.

Cudowne oblicze Madonny jaśniało promiennie w rannych blaskach słonecznych... oczy Jej zdawały się patrzeć na Lorenza długo, wymownie, jakby żałośnie; usta zdawały się mówić:

— Czy chcesz zniszczyć najdalsze nawet wspomnienie?...

— Zawsze ona! zawsze ona! — szepnął Lorenzo. — Zawsze równie piękna , jednako ukochana...

Szept skonał w łkaniu, które podniosło pierś biednego rybaka. Twarz ukrył w dłoniach, jakby sam przed sobą utaić chciał, że płakał jak dziecko... Nagle porwał się z miejsca, przystąpił do ściany i gwałtownym ruchem chciał zerwać obraz. Szarpnął raz i drugi, ale nadaremnie; obraz, bez ram zewnętrznych, zawieszony był niezręcznie ręką Aminy na dużym haku, który wszedł pomiędzy wewnętrzną drewnianą oprawę a płótno i nie puszczał obrazu. — Lorenzo, szarpiąc ciągle, wbijał go tam jeszcze mocniej, aż nareszcie płótno pękło pod naciskiem i zardzewiała głowa haka przeszła na zewnątrz, rozrywając na szmaty promienne czoło Madonny...

Lorenzo blady, osłupiały z przerażenia, puścił z rąk obraz, który kołysząc się na haku, rozdarł się jeszcze więcej, a w końcu przekrzywiony dziwacznie, nieruchomo zawisnął.

W tej chwili weszła Amina i zastała męża sie-

dzącego na krześle, jakby w omdleniu. Z krzykiem przypadła ku niemu, chcąc go cucić, ale Lorenzo po raz pierwszy odsunął ją od siebie stanowczo. Amina, mocno zdziwiona, spoglądała dokoła, nie pojmując, co się stało. Rozumiała tylko, że Lorenzo chory; pragnęła go uleczyć coprędzej i nawet z apteki przyniosła dlań lekarstwo na ból głowy i bezsenność. Ale oto Lorenzo odsunął ją z widoczną niechęcią... Cóż mu zawiniła?

Łzy zakręciły się w oku Aminy; nie mówiąc nic, usiadła w drugim końcu pokoju i zadumała się boleśnie. Dlaczego Lorenzo gniewa się na nią?...

Długą chwilę trwało milczenie. Aż wreszcie Lorenzo podniósł oczy utkwione dotychczas w ziemię i spojrzał na żonę. Zobaczył jej twarz zasępioną, wzrok zamglony łzami i żalem ścisnęło mu się serce.

— Biedna kobieta — szepnął — a cóż ona winna?

Powstał i zbliżył się do niej.

— Amino — rzekł — przebacz mi! Uniosłem się nie wiedzieć dlaczego.. Jestem chory całą noc nie spałem, a na domiar zepsułem obraz, który lubiłem..

Amina rozpromienioną twarz podniosła na męża, schwyciła jego rękę i ucałowała mocno, a potem nagle powstawszy, oba ramiona zarzuciła mu na szyję.

— Biedny mój, drogi Lorenzo! — zawołała — Tyś chory!

Ale rybak mimowolnym ruchem usunął usta od pocałunku żony i wyzwalając się łagodnie z jej objęć:

— Uspokój się, Amino — rzekł poważnie. — Nic mi nie jest; przemijające niezdrowie. Muszę wyjść

teraz na powietrze... przejść się trochę. Ty tymczasem weź ten zepsuty obraz i... i...

Zawahał się chwilę, ale wreszcie głosem drżącym dodał:

— Zrób z nim, co zechcesz... spal lub w morzu zatop...

Amina, coraz bardziej zdziwiona, spojrzała teraz dopiero na obraz przedarty, bokiem wiszący na haku. Jakim sposobem stać się to mogło? Zresztą niewielka szkoda; obraz ten nigdy nie wydawał się jej ładnym.

— Ten obraz — przemówiła powolnie — najlepiej sprzedać, może kto da co za niego, chociaż przedarty i brzydki...

Lorenzo spojrzał na nią takim wzrokiem, że biedna Amina struchlała i nie dokończyła zdania.

— Może co złego powiedziałam — szepnęła i chciała ująć męża za rękę, ale rybak nie słuchał już, co mówiła. Wyrwał dłoń swą gwałtownie.

— Nie sprzedawaj! — zawołał podniesionym głosem — spal albo zatop!

To rzekłszy, drzwi otworzył i wybiegł z pokoju.

Po wyjściu męża Amina długo jeszcze siedziała nieruchomo, pogrążona w posępnych dumaniach. Niewymownie było jej przykro, że Lorenzo ją odsunął, pocałunku nie oddał, a wreszcie mówił do niej podniesionym głosem, jak nigdy Co mu się stać mogło? Czyliż popsucie tego obrazu Madonny tak go rozjątrzyło? Doprawdy, nie było czego żałować! Stare jakieś, brzydkie malowanie, bez ram nawet... szpeciło ścianę, nic więcej. Obrazów świętych było u nich aż dwa, co nad łóżkiem wisiały; ten trzeci, najbrzyd-

szy, zupełnie był zbyteczny... Nie darmo matka jej mówiła, że Lorenzo dziwak, fantastyk: najlepszy tego dowód złożył dzisiaj. Z powodu takiego obrazu taką scenę zrobić! I dlaczego nie chce tej starzyzny sprzedać? zawsze lepiej choćby kilka bajoków wziąć za nią. Ano, z dziwakiem trudno poradzić!...

Zdjęła obraz ze ściany i przyglądała mu się uważnie.

— Co on w tem malowidle widzi, to chyba Bogu wiadomo! — myślała dalej. — Ot, tu zaraz niedaleko, sprzedają obrazy nie takie jak ten... Stokroć piękniejsze. Święte, nie święte, w ramach złocistych..., czasem wesołe, bardzo wesołe...

Uśmiechnęła się przez łzy.., Wstała, zdjęła obraz przedarty, otworzyła drzwi od kuchni i tam go za piec wrzuciła.

— Niech tam leży tymczasem — szepnęła.

— Myśli jej pobiegły znów za Lorenzem. Gdzie on jest? gdzie poszedł? co robi? Taki był rozdrażniony i zmieniony widocznie. Boże! Boże! byle się nie rozchorował tylko. I coby tu zrobić, aby mu powetować poniesioną stratę, aby na miejscu uszkodzonego obrazu zawiesić inny — piękniejszy.

Naraz aż klasnęła w ręce i podskoczyła z radości. Właśnie dzisiaj, gdy wracała z apteki, przechodząc koło sklepu z obrazami, widziała jeden mały, ale prześliczny. Przedstawiał piękną Włoszkę, tańczącą w stroju, dozwalającym podziwiać pełne, okrągłe jej kształty. Amina zatrzymała się nawet na chwilę, bo jej się wydało, że w rysach tej tancerki jest wielkie do niej samej podobieństwo. Takie same usta koralowe i duże ciemne oczy i nosek nie-

zbyt kształtny, ciekawie patrzący do góry i ciało białe bardzo piękne. Byle tylko ten obrazek dużo nie kosztował! Ale przecie ona ma swoje oszczędności: dwadzieścia kilka lirów; to więcej kosztować nie może, a odda wszystko, byleby zadowolić męża...

Z gorączkową niecierpliwością Amina pobiegła do sklepu. Chciała koniecznie wrócić przed Lorenzem do domu i zawiesić obraz, zanim on przyjdzie, aby miał niespodziankę.

W pół godziny potem, zdyszana wracała do domu, a raczej biegła, wołając wciąż na sklepowego sługę, który dźwigał zakupiony obraz. Kosztował tylko piętnaście lirów... a gdzież to porównanie z tamtym! Amina usiadła na tem samem miejscu, które przed pół godziną zajmował Lorenzo, i z nietajoną radością przypatrywała się obrazowi.

Na twarzy tancerki i na złocistych ramach odbijały się jaskrawo promienie południowego słońca.

Zegar duży, zawieszony na ścianie obok nowo zakupionego obrazu, wybijał godzinę po godzinie, a Lorenzo nie wracał. Amina czekała zrazu cierpliwie, cała oddana radości z powodu swego kupna, ale gdy minęła godzina obiadu, gdy wreszcie i słońce poczęło ku zachodowi się zniżać, wielki niepokój ją ogarnął, wzrastając z każdą minutą, przemijającą na próżnem oczekiwaniu.

— Boże! Boże! co się z nim stało? — wołała, biegając szybkim krokiem po pokoju.

Usiłowała jeszcze wzbudzić w sobie nadzieję.

— Zapewne turyści jacyś wynajęli jego barkę i pojechał razem z nimi...

Przecież to się często zdarzało... Czasem Lo-

renzo nie wracał z takiej wycieczki, aż późnym wieczorem, ale zwykle przysyłał jej chłopaka z zawiadomieniem, aby napróżno nie czekała i była spokojną. Dlaczegóż dziś nie przysłał? Był widocznie zagniewany na nią, gdy odszedł tak nagle. Ale dlaczego się gniewał?...

Amina usiadła, przypominając sobie każde swe słowo z dni ostatnich, aby odgadnąć, czem mogła Lorenza rozgniewać. Była taka, jak zawsze: cicha, dobra, kochająca. I przypominała sobie dalej wyraz twarzy Lorenza, dziwnie zmieniony. Piękne jego czoło pofałdowało się zmarszczkami, brwi nad oczami ściągnięte nadawały jego szlachetnej twarzy wyraz prawie ponury. A te oczy! te oczy! siały iskry gniewu tak płomieniste, że je Amina dotychczas czuła w swej duszy.

Prawdziwie szalony wzrok miał ten Lorenzo. Amina bała się jego oczu, a zarazem kochała je namiętnie; bo też jeśli czasem przerażały ponurą dzikością, umiały również spoglądać tak tkliwie i rzewnie, jak żadne inne na świecie, a czasem przebijała się w nich tak głęboka, niewysłowiona tęsknota, taki ból duszy rozpaczny, że Aminie wówczas serce się krajało i byłaby gotowa ofiarą własnego życia okupić jedną, choćby jedną tylko szczęścia chwilę dla tego człowieka.

Amina nie próbowała nawet nigdy badać tajemnicy przeszłości Lorenza. Raz, w chwili rozrzewnienia, powiedział jej tylko, że miał niegdyś dom własny i ognisko rodzinne, w którem mu było dobrze jak w raju; że to wszystko porzucić musiał i iść w świat daleki, że kochał raz w życiu kobietę, która

go zawiodła, że odtąd tęsknota i żal szarpały jego duszę bezustannie, że pragnąłby jednak zapomnieć o wszystkiem w czułem objęciu Aminy

Amina na to zwierzenie odpowiedziała łzami i postanowiła sobie święcie nie zapytać nigdy męża o nic, co się do przeszłości odnosić mogło.

— Byleby tylko zapomnieć o niej zdołał! — myślała. I modliła się do Madonny, aby ją natchnąć raczyła i wskazać środki, któremi najłatwiej cel upragniony osiągnąćby mogła.

Niestety! modlitwa widocznie wysłuchaną nie była, bo oto Lorenzo stawał się znów ponurym. Widocznie wracał myślą do tej przeszłości... Dziś jeszcze zrana Amina miała nadzieję, że ponure zamyślenie męża, to wynik przemijającego niezdrowia; obecnie z każdą upływającą chwilą w tej okropnej samotności przychodziła do przekonania, że to nie fizyczne, ale raczej moralne cierpienie. Człowiek chory nie odsuwa dłoni żony, pragnącej mu ulgę przynieść, nie wybiega z domu tak gwałtownie, aby nie wrócić rychło... To ta przeszłość inna a niepowrotna, tęsknota i żal okrutny tak go gnębią... Mój Boże! a ona myślała, że on już o tem wszystkiem zapominać zaczynał; przed chwilą jeszcze miała nadzieję, że wróci śpiesznie, uspokojony i tkliwszy niż zwykle, że jej wynagrodzi czułością ranną przygodę, a ujrzawszy nowy, piękny obraz, rozpromieni się radością, popatrzy na nią wdzięcznie i może... może... nawet pocałuje!

Spojrzała znów na obraz i wzdrygnęła się; wydał się jej prawie brzydkim. Różowy odblask od chmur na zachodzie znikał powoli ze ściany i płótna;

obraz ściemniał nagle, wyglądał jakgdyby brudny, tańcząca włoszka była nadto tłusta, niezgrabna, a w ustach i oczach miała wyraz, który się Aminie nie podobał. Ramy wprawdzie były ładne, szerokie, pozłociste, niby rzeźbione, ale teraz w tym zmroku wieczornym dużo także straciły

Ze smutkiem patrzyła Amina na obraz, po którym tyle się spodziewała, a który teraz zdawał się jej dziwnie innym, niż zrana. Cały gmach jej nadziei rozpadał się w gruzy i znikał razem z ostatnim dogasającym promieniem zachodzącego słońca... Zamyśliła się posępnie.

Syk zegara przenikliwy, przeciągły, zwiastujący bicie godziny, obudził ją z zadumy. „Boże mój! to już późno, bardzo późno, a Lorenza niema!“

Słońce zaszło zupełnie; zmrok nocny opanował już kąty pokoju, pełzał po ścianach i sprzętach dalszych, gasząc na nich ostatnie dnia błyski.. Obrazu już i widać nie było. Amina zerwała się z miejsca. Zegar wydzwaniał powoli jakąś godzinę, ale ona dorachować się jej nie mogła; wzięła chusteczkę, zarzuciła ją na głowę i nieprzytomna prawie wybiegła z domu.

Po skwarnym dniu letnim powietrze było parne, duszące. Najlżejszy nawet powiew wiatru nie poruszał gałęziami drzew, otaczających domek Lorenza. Amina wybiegła na sam szczyt wzgórka i spojrzała dokoła... Po prawej stronie urocza Casamicciola tonęła już w cieniach nocy, promieniejąc tysiącem świateł swych willi i pałacyków; ztamtąd dochodził stłumiony gwar głosów ludzkich, turkot wozów i pojazdów, tam wrzało życie. Po lewej stronie nie było

ani jednego światełka; tu jeszcze blaski dzienne przeważały, a wielkie milczenie zalegało całą przestrzeń morza bezbrzeżną. Tylko szum jego miarowy, jakby ciężki oddech uśpionego olbrzyma, przerywał ciszę.

Amina wytężyła wzrok swój, aby sięgnąć jak można najdalej w przestrzeń głuchą, ale nie dostrzegła nic zgoła. Na całym obszarze, jak tylko oko dopatrzeć mogło, ani jednej łodzi, ani śladu życia, znikąd nie dochodził jej uszu plusk wiosła, tylko ciągłe, miarowe oddychanie morza, a czasem głośniejsze odbicie się leniwej fali o wybrzeże.

Z głową wysuniętą naprzód, z okiem w dal wpatrzonem, stała tak Amina długą chwilę, tłumiąc oddech w piersi. Aby lepiej słyszeć, zerwała z głowy chusteczkę a zerwała tak silnie, że szarpnięte razem z nią włosy, długie, ciemne, rozwinęły się, rozplotły i spadły jej na ramiona, okrywając jak płaszczem. i nasłuchiwała tak długo, bardzo długo... Napróżno! Straszne myśli poczęły krążyć w jej głowie.

Lorenzo był dzisiaj dziwnie, niezwykle wzburzony. On zresztą zawsze taki szalenie gwałtowny. Kto wie, może już w tej chwili spoczywa martwy na dnie morza, które spokojne, obojętne, jakgdyby uśpione, chłonęło w swych nurtach całe szczęście Aminy, jej jedyną na świecie nadzieję, jej miłość gorącą, ukochanego Lorenza!... Zatęsknił za przeszłością swoją, zadumał się o tej kobiecie, którą niegdyś... którą zawsze kochał, pojechał na morze... i — utonął!...

Jęk głuchy ozwał się w piersi zrozpaczonej kobiety. Zadrżały i ugięły się pod nią nogi. Amina padła na kolana i oba ramiona wyciągnęła ku ściemnionemu niebu, które zdawało się uśmiechać do niej

mrugającemi figlarnie gwiazdami, jakby urągać chciało jej rozpaczy...

— Wielki Boże! Madonno cudowna! ulituj się nademną! — wyjąkała Amina.

W tejże chwili, niedosłyszalne obojętnemu uchu, dalekie, stłumione ozwało się pluśnięcie. Byłże to plusk fali, czy odgłos wiosła?... Amina pochyliła się naprzód, okiem, uchem, wpółotwartemi usty, całą duszą idąc w dal, w tę głuchą przestrzeń bezbrzeżną, a tak dla niej w tej chwili okropną... Znów wyraźniejszy odgłos i jakiś mały, maleńki, jak czarna plamka punkcik, ukazał się na szarem tle horyzontu...

Amina porwała się na równe nogi i pędem, jak strzała, zbiegła ze wzgórka, nad sam brzeg morza.

— To on! to Lorenzo wraca!

Dobrze jej znaną była ta łódź, która teraz z rozwiniętemi żaglami zbliżała się powoli ku wyspie. Była własnością Lorenza, który ją ochrzcił dziwnem dla niej mianem: „Iskierka"; wypisał je wielkiemi literami na obu bokach łodzi i nauczył Aminę wyraz wymawiać.

— Iskierka! ukochana Iskierka! — powtarzała, z trudnością wykrztuszając tę nazwę i oba ramiona wyciagając ku łodzi.

Ale jeszcze nie odchodziła od brzegu. Pragnęła ujrzeć Lorenza i dostrzegła go niebawem stojącego u steru.

— Najdroższy mój! — szepnęła i nagle przechodząc z jednego uczucia w drugie, zaśmiała się radośnie, klasnęła w ręce i zwracając się, pobiegła pędem ku mieszkaniu. Potrzeba bowiem było przygotować wszystko na przyjęcie męża: zapalić lampę,

zastawić jedzenie, pokazać nowo zakupiony obraz. A nie! ona mu nic o tym obrazie nie powie; czekać będzie, aż Lorenzo sam go zobaczy, a wówczas najlepiej będzie mogła ocenić wrażenie... Gdybyż mu się tylko podobał! Ale już o wszystko mniejsza... Bóg miłosierny, że jej wraca Lorenza, zresztą niech się dzieje co chce!

W pół godziny potem, Amina, stojąca u zastawionego stołu, usłyszała ciężki chód zbliżającego się Lorenza. Szedł powoli, bardzo powoli, jakby strudzony. Każdy krok jego odbijał się żywem echem w sercu Aminy, które biło tak gwałtownie, jakby pęknąć miało. Nareszcie drzwi się otwarły i na progu stanął Lorenzo. Jednym rzutem oka objął wszystko: i pokój schludnie przybrany i stół obfitem zastawiony jadłem, i Aminę stojącą opodal, ze spuszczonemi w dół oczyma, jakby zawstydzoną. Na twarz jej padały blaski od lampy stojącej na stole; twarz ta z wyrazem ujmującej łagodności i dobroci, zarumieniona w tej chwili mocniej, wskutek wrażeń przebytych, wydała się Lorenzowi bardzo pospolitą.

Czyliż tu, w tych czterech ścianach ubogiego dworku, przy tej kobiecie dobrej, ale tak bardzo prostej, miało upłynąć całe jego dalsze życie? Tu, w tym zakątku, miałyż znaleźć kres wszystkie jego pragnienia, marzenia, porywy?!

Ta myśl, jak ostrze sztyletu, przeszyła mu serce.

Wracał z wycieczki na morze. Tam, wśród nieskończonej przestrzeni, myśli jego rozbujały się znów; na chwilę zapomniał o teraźniejszości i odżył dawnem życiem. A oto rzeczywistość z całą swą

realną grozą stawała mu znów przed oczy, w postaci tej hożej kobiety, pozbawionej wszelkich aspiracyj wyższych i z całem jej otoczeniem więcej niż pospolitem: umiecioną podłogą, białemi ścianami domu, małżeńskiem łożem, zaścielonem kapą kraciastą, stołem zastawionym jadłem pożywnem, ale niewykwintnem... Jedyny przedmiot, który w tem otoczeniu był mu drogim, Madonna florencka, już zniknął...

Lorenzo widział wszystko i wszystko odczuł, ale na ścianę, gdzie przedtem wisiał obraz ukochany, nie spojrzał. Nie chciał widzieć tej pustki, która go przejmowała trwogą.

Po chwili posępnego milczenia zbliżył się powoli do Aminy. Ona stała drżąca, zmieszana, nie śmiejąc oczu podnieść na męża. Gorączkowe rumieńce znikały z jej twarzy pod wpływem wzruszenia i obawy.

— Co Lorenzo jej powie! Co on jej powie!— myślała.—Może przemówi do niej tkliwie, jak to już nieraz bywało przedtem, po każdem małem nieporozumieniu małżeńskiem? Może ją przeprosi za swoje uniesienie... Chociaż ona przeprosin nie wymaga wcale! O, nie! obawia się nawet tego, bo czuje, że wówczas opuściłaby ją cała siła woli, że wybuchnęłaby spazmatycznym płaczem i upadła do nóg Lorenza. On ją przepraszać? mój Boże! i za co? Za to, że nieszczęśliwy, że zgnębiony, że smutny! Ależ to jej własna wina, że nie umiała smutku rozproszyć i goryczy z serca jego usunąć. Jej wina, że człowiekowi, który jej przyniósł z sobą niewymowne szczęście, nie umiała zapełnić życia i dać zapomnieć

o przeszłości, za którą wciąż tęsknił. To ona raczej powinna go przepraszać..

Wzrok zamglony łzami podniosła na męża i wzdrygnęła się cała. Z włosami zburzonemi, blady, z zaciśniętemi usty, ze wzrokiem roziskrzonym dziko, Lorenzo stał przed nią jak sędzia, czy mściciel.

W głowie jego tłoczyły się szalone myśli.

— Gdyby nie ta kobieta! — myślał—gdyby nie ta kobieta!... Po co mi ona narzuciła swą miłość? po co skrępowała ręce? Poszedłbym w świat, jak dawniej, zaczerpnął powietrza, odpoczął duchem, a umęczył fizycznie i znów mógłbym żyć dalej. A dziś? muszę wracać tu, do tej chaty, w której wszystko przypomina mi, żem nędzarz... do tej kobiety, która nie daje mi zapomnieć, żem niewolnik na całe życie!..

Z oczu Aminy wybiegły łzy strumieniem i toczyły się zwolna po twarzy, bez jęku i łkania. Domyśliła się instynktem, co się w tej chwili działo w duszy Lorenza, czuła, że w tym momencie, po raz pierwszy przeniknęła jego duszę myśl okropna: „Gdyby nie ta kobieta...” i poczuła także, jak strasznym ciężarem zaważyła na całem istnieniu ukochanego.

Widok cichych łez Aminy w dziwny sposób oddziałał na Lorenza. Miał serce miękkie i tkliwe, uznawał zresztą całą niesprawiedliwość wewnętrznego buntu przeciw więzom, któremi sam dobrowolnie się skrępował. I znów, jak zrana, użalił się nad Aminą.

— Czego płaczesz? — rzekł zcicha, łagodnie.—

Byłaś pewnie o mnie niespokojną; musiałem jechać na morze, a nie znalazłem nikogo, aby cię zawiadomić... Nie płacz, Amino, wszak wiesz, że łez nie lubię.

Prawda! mówił jej to kilkakrotnie przedtem, gdy dla błahej przyczyny rozpłakała się czasem A ona niebaczna, zapomniała o tem! Gwałtem stłumiła cisnące się do oczu łzy, twarz co rychlej otarła i nieśmiało wzrok podniosła na męża, usiłując się uśmiechać.

— Przepraszam cię Lorenzo! — szepnęła po chwili—już nie płaczę.

On, ujęty pokorą i dziwną łagodnością tej kobiety, którą przed chwilą w sercu swem potępiał, zbliżył się ku niej, pochylił i pocałował w czoło .

Pocałunek był zimny, ale za dotknięciem ust ukochanych twarz Aminy rozpromieniła się niewymownem szczęściem. Nie śmiała już wprawdzie, jak bywało dawniej, obu rąk zarzucić na szyję mężowi, ale dłoń jego porwała z uniesieniem i namiętnie całować zaczęła

Lorenzo ręki nie usunął; rozrzewniony widocznie, drugą ręką pogładził śliczne, ciemne włosy Aminy i raz jeszcze w schyloną główkę pocałował.

— Uspokój się — rzekł po chwili—uspokój się, biedne dziecko! Jam zmęczony bardzo, daj mi wina szklankę...

Amina zbliżyła się śpiesznie do stołu, nalała wina i podała je mężowi. Wypił jednym tchem, a potem usiadł przy stole, obracając się plecami do ściany, na której wisiała Madonna.

— Mój Boże! — myślała z żalem Amina — nie

zobaczy mego obrazu... a może do resztyby się rozchmurzył na widok niespodzianki

Lorenzo jadł niewiele, za to wypił parę szklanek wina; poczem powstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Milczeli oboje. Amina, siedząc przy stole z głową na obu rękach wspartą, śledziła każde poruszenie Lorenza i badała wyraz jego twarzy, ciągle bardzo posępnej. Czasem tylko odrywała wzrok od twarzy męża i spoglądała na obraz, a ten wydawał się jej teraz znów niezmiernie pięknym. Od lampy padało światło na twarz tańczącej Włoszki, która uśmiechała się rozkosznie, podnosząc obnażone, okrągłe ramiona, chełpiąc się białem swem ciałem, przeglądającem przez lekką zasłonę gorsu, i pięknemi kształtami, zarysowującemi się wyraźnie. Na tej twarzy znać było upojenie zmysłowe, a pędzel malarza, jakkolwiek bardzo niezgrabny, umiał je wszakże oddać w całej pełni. Był to widocznie utwór początkującego artysty, który dla chleba sprzedawał podobne wyroby za bezcen handlarzom.

Amina z całą przyjemnością patrzyła teraz na obraz.

— To niemożebne—myślała—aby się Lorenzowi nie podobał! Ta Włoszka zupełnie jak żywa; kolory piękne, świeże, wcale nie takie, jak na tem popsutem, spłowiałem malowidle. Gdybyż tylko co rychlej Lorenzo obraz zobaczył!

I coraz dłużej nań patrzyła, ciesząc się w duchu ze swej myśli, która Lorenzowi miała przynieść chwilowe przynajmniej zadowolenie. On tymczasem chodził zwolna po pokoju i nie zwracał na nic uwagi. Nagle się zatrzymał i spytał Aminę zcicha, jakby nieśmiało;

— Czy obraz Madonny... zniszczony?...

Amina rozpromieniony wzrok podniosła ku niemu. Serce jej zabiło gwałtownie; nadeszła nareszcie upragniona chwila. Nie mówiąc nic, z uśmiechem wskazała na ścianę, gdzie wisiał nowy obraz w ramach złocistych. W tej chwili lampa, poruszona przypadkiem, zadrgała, a promienie światła zamigotały na płótnie, że się zdawało, iż rozkoszna Włoszka tańczy rzeczywiście.

Lorenzo spojrzał, parę kroków postąpił i stanął jak wryty, osłupiały, nie wierząc oczom własnym.

— To niepodobna, to musiało być chyba złudzenie! — Na miejscu Rafaelowskiej Madonny jakaś tańcząca Włoszka, jakieś niezgrabne malowidło w pozłacanych ramach!

Rzucił się naprzód, jak oszalały.

— Co to jest?— krzyknął.

Amina pojąć nie mogła znaczenia tego okrzyku. Nie był to z pewnością okrzyk radości, lecz tej rozpaczy, która go wywołała i której biedna kobieta zgłębić nie była w stanie. Drżąc, powstała z miejsca:

— To ja...—szepnęła—kupiłam na miejsce...

Nie mogła dokończyć. W tej chwili Lorenzo zwrócił się ku niej, a jedno przelotne spojrzenie na twarz jego wystarczyło, by ją przeniknąć śmiertelną trwogą. Taką nie widziała jej Amina jeszcze nigdy. Spazmatycznie wykrzywiona, szarpana kurczowemi drganiami, patrzyła na nią oczyma ciskającemi płomienie gniewu. Gwałtownym ruchem Lorenzo pochwycił Aminę za ramię.

— To jakieś bezecne szyderstwo! — zawołał

nieprzytomny prawie. — Gdzie tamten obraz? spaliłaś go? zniszczyłaś?

Amina pod naciskiem ręki Lorenza, który, powtarzając pytania, szarpał jej ramię z wściekłością, ugięła się ku ziemi i niezdolna słowa przemówić, padła przed nim na kolana.

Nie mogąc się doczekać odpowiedzi, a z milczenia wnosząc, że Madonna zniszczona, Lorenzo do reszty stracił przytomość.

Rzucił się znów ku obrazowi nowemu, oderwał go razem z hakiem ze ściany, cisnął na ziemię, nogami deptał, darł płótno rękoma i druzgotał ramy... Nie mówiąc nic, dyszał chrapliwie — był pijany z gniewu.

— Lorenzo! Lorenzo! — szeptała błagalnie Amina, czołgając się u stóp męża, ale on nie słyszał tego błagania i nie widział twarzy biednej Aminy, trupio bladej z przerażenia i bólu. Poszarpawszy na szmaty nieszczęsne malowidło, Lorenzo jakby w obawie, aby się jeszcze bardziej nie uniósł, nie patrząc na żonę, która leżała bez ruchu, porwał czapkę i pędem wybiegł z domu... Ostatek sił zebrawszy, Amina powstała i chciała podążyć za nim, ale u progu siły ją zawiodły... Zachwiała się i z jękiem upadła na ziemię w omdleniu.

Jak długo Lorenzo tej nocy błądził nad morzem, on sam powiedziećby nie umiał; chłodny powiew wiatru, zwiastujący brzask dzienny, otrzeźwił go dopiero. Teraz przypomniał sobie wszystkie szczegóły dnia wczorajszego; stanęła przed nim wybladła, zalękniona postać Aminy, tym lękiem i tą bladością skarżąc się bezmownie na niedolę i opuszczenie swoje.

Przypomniał sobie, że zostawił ją samą, w rozpaczy, niemal w omdleniu.

— Może umarła...—pomyślał.

Pod grozą przypuszczenia tego zaczął biedz co tchu ku domowi. Ale im bardziej się doń zbliżał, tem większa przejmowała go trwoga. Jak on ją zastanie?... Co powie?... jeśli Amina żyje, jak ją przebłaga za uniesienie szalone, którego się wstydził?... Nie, on naprawdę jest szaleńcem! Cóż ona winna, ta nieszczęśliwa kobieta, że pojąć nie jest w stanie jego artystycznych pragnień? Co winna, że nie zrozumiała, iż do obrazu Madonny przywiązywał nieocenioną wartość niezatartego w sercu wspomnienia? Wszak jej nigdy nie mówił, że ta Madonna była jakby żywym wizerunkiem kobiety, ktorą niegdyś kochał, którą kochał zawsze, pierwszą i niewygasłą miłością?

Stanął u progu domu, ale wejść się lękał. Przysunął się ostrożnie ku oknu i spojrzał do wnętrza.

Lampa dogasała, migocącym płomieniem od czasu do czasu oświetlając pokój. Na stole stało nietknięte jedzenie wczoraj przygotowane i próżna butelka od wina, które wieczorem wypił; na ziemi walały się szczątki podartego malowidła i leżało przewrócone krzesło. Ale gdzie była Amina? Wzrok jego nie dostrzegł jej nigdzie w pomroku, a gasnący płomień lampy wydobywał się coraz rzadziej i coraz słabszy, aż wreszcie zamigotał pospiesznie kilka razy i zagasł zupełnie...

Przerażony, bez tchu prawie, Lorenzo, wpadł

do wnętrza domu. Potykając się o sprzęty, doszedł do łoża... było puste! Schylił się ku ziemi, ukląkł, wyciągniętemi rękoma szukał wszędzie, w każdym zakątku—daremnie!...

— Amino! Amino! — wołał stłumionym głosem, który się łamał w piersi, uciśnionej okropnem przeczuciem.

Naraz przypomniał sobie, że ma zapałki i latarkę. Powstał tedy z ziemi, latarkę zapalił i obejrzał się dokoła. Aminy w pokoju nie było... Ujrzał wszakże drzwi do kuchni otwarte — może się tam schroniła? Z nieopisaną trwogą rzucił się naprzód i stanąwszy na progu, skierował światło latarki ku wnętrzu małej kuchenki.

Na ziemi, w półleżącej postawie, jedno ramię i głowę wsparłszy na krześle drewnianem, spoczywała Amina. Zdawała się uśpioną—bez ruchu... Na jej kolanach leżał obraz, dobrze Lorenzowi znany, przedarty dziś rano wizerunek Rafaelowskiej Madonny... Objęła go obiema rękami i tak nad nim usnęła, płacząc... Przyszedłszy snać do siebie z pierwszego omdlenia, zaczołgała się tu, aby wydostać obraz Lorenzowi drogi i pokazać mu go zaraz, gdy przyjdzie... To wszystko w jednej chwili zrozumiał Lorenzo i ze łzami głębokiego rozrzewnienia w oczach rzucił się ku Aminie, upadł przed nią na kolana, całował zimne jej ręce i usta, pocałunkami temi cucąc do życia...

Amina otworzyła oczy. Wzdrygnęła się, jak gdyby budząc się ze snu ciężkiego, lecz ujrzawszy przed sobą klęczącego Lorenza, rozpromieniła się nagle uśmiechem szczęścia...

— To ty, Lorenzo! o mój najdroższy, ukochany, jedyny!

I oba ramiona zarzuciła mu na szyję, a on ją objął wpół, podniósł z ziemi, jak dziecko, zaniósł do pokoju i do snu ułożył.

O tem zajściu nigdy już później mowy między małżonkami nie było. Naprawiony obraz Madonny wisiał na swem dawnem miejscu, a Lorenzo odtąd przez długi czas był bardzo dobrym i czułym dla żony.

W kilka miesięcy potem została ona po raz pierwszy matką. Przyszła na świat córka, podnosząc szczęście Aminy do szczytu. Szczęście upiększa, to też żona Lorenza, za czasów najpierwszej młodości nie odznaczająca się urodą, nabrała teraz niezwykłego wdzięku; jaśniała zdrowiem i wewnętrzną duszy pogodą Macierzyństwo, które dla pięknych Włoszek bywa zwykle kresem urody, Aminie nie odjęło ani świeżości płci, ani popsuło jej bujnych kształtów.

W atmosferze szczęścia pięknaiała dziwnie ta kobieta, ale też rychło zapomniała, że każde szczęście ma kres na tej ziemi, że mu nigdy zbytnio ufać nie należy, lecz pracować nad niem i czuwać trzeba, jak nad wątłą, egzotyczną rośliną.

Lat parę przeszło wszakże spokojnie. Wszyscy nadziwić się nie mogli zmianie, jaka zaszła w usposobieniu Lorenza. Zdarzały się teraz nawet chwile, że bywał wesoły; dawnych artystycznych podróży nie odbywał wcale, a nawet przechadzek samotnych nad morzem zaniechał. Uspokoił się widocznie.

Czy był szczęśliwy? Mówiono o nim powszechnie, że miał taką naturę, która nigdy szczęścia odczuć nie była zdolną.

W pierwszych czasach drażniły go namiętne uniesienia Aminy, ale córka rybaka była to jedna z tych pospolitych natur, które w domowem pożyciu stygną rychło. Samo przekonanie, że ukochany jej Lorenzo należał do niej wyłącznie, że związany z nią jest podwójnym węzłem małżeństwa i ojcowstwa, że go nikt jej odebrać nie zdoła, że może być o niego zupełnie spokojną — samo to przekonanie ostudziło z czasem porywy Aminy.

Czułość jej przeniosła się teraz na córkę, a potem na syna, który w parę lat później na świat przyszedł. Amina oddała się dzieciom z całem poświęceniem, z całym zapałem macierzyńskiej miłości, nie zwracając uwagi, że mimowolnie zapomina nieraz o potrzebach męża. Dawna o niego troskliwość, dawne starania o swoją urodę, o schludność mieszkania, coraz bardziej ustępowały miejsca zajęciom około dzieci. Amina stała się wkrótce zupełnie podobną do innych kobiet tej samej sfery. Lorenzo znajdował ją nieraz brudną, w podartej bieliźnie, z nieumytemi rękoma. Z początku starał się łagodnie zwracać na to jej uwagę, lecz gdy to nie skutkowało, mówić zaprzestał i z coraz większą niechęcią przychodził do domu, gdzie go witała niekochana żona dość obojętnem pozdrowieniem, a dzieci piskliwym wrzaskiem.

To, co dla Aminy było szczytem szczęścia, dla Lorenza stało się jednym więcej do zniechęcenia powodem.

On, niestety, nie odczuwał w całej pełni rozkoszy ojcowstwa. Kochał dzieci, gdy już na świat przyszły, ale nie miał w sobie tego uczucia, które pragnie odrodzenia się w potomstwie i cieszy się niem

gorąco. Nawet często z utęsknieniem wspominał o czasach, gdy był sam z Aminą, gdy mógł mówić swobodnie, gdy dom jego był taki cichy, samotny, spokojny. Krzyk dzieci go drażnił, a troska o ich los przyszły napełniała go niepokojem. Zresztą w miarę, jak Amina swojem zachowaniem się odsuwała go od siebie, w miarę jak stygło to jakieś wątłe dla niej w jego sercu uczucie—i dzieci stawały mu się tem nieznośniejszemi. Dostrzegał w nich instynkta i pospolitą naturę matki i to go ostatecznie zrażało.

A jednak w duszy jego był nadmiar uczucia. Nie kochał żony i dzieci nie kochał, a czuł wielką potrzebę miłości. Bywały chwile, że refleksyą usiłował się zmusić do rodzinnego życia; zazdrościł innym, którzy potrafili w czterech ścianach domu znaleźć rozkosze zdolne całkowicie zapełnić serce. Widział innych mężów i ojców, żyjących przykładnie, uśmiechniętych, swobodnych. Jak im dobrze być musiało w tej atmosferze spokoju! Dlaczego on nie mógł znaleźć zadowolenia w tych samych życia warunkach? dlaczego Amina, stokroć lepsza od innych, wierna żona, pełna poświęcenia matka, wydawała mu się coraz pospolitszą? dlaczego uciekał już teraz od jej towarzystwa, nie wychodził z nią prawie nigdy razem? dlaczego dzieci jego, ładne i miłe, zdawały mu się tak uprzykrzone i nieznośne?... Przecież czas już przytłumić burzę miotającą sercem... czas powiedzieć sobie: młodość minęła, a z nią minąć powinny i szaleństwa. Siła wieku—lat czterdzieści—to pora obowiązków i pracy, pora rzeczywistości, a nie marzeń złudnych. Siły najwięcej, toż najwięcej tak-

że zadań i trudów, a podjąć je trzeba i spełnić wszystkie, bez wahania i kompromisów z sumieniem...

Tak sobie mówił Lorenzo i zdawało mu się czasem, że siebie samego przekonał. Wówczas z zamkniętemi oczyma wracał do codziennego życia, z gorączkowym jakimś zapałem pieścił dzieci, nosił na rękach, na przechadzki prowadził, a zarabiał dużo, bardzo dużo, by Aminie na piękne suknie starczyło... Ale Amina sukni tych nosić nie chciała; zrobiła się nad wyraz wygodną, lubiła suknie stare, bardzo wolne, chociażby nawet brudne i podarte. Była wszakże wdzięczną Lorenzowi za pamięć, dziękowała mu z wylaniem, a widząc go takim dobrym, łagodnym, pełnym miłości dla dzieci, nie umiała ukryć swego zachwytu i pierwsza zawsze zwracała uwagę na tę zmianę w usposobieniu męża, każąc go podziwiać innym.

— Co się tobie stało — pytała — żeś tak dzieci pokochał?

— Patrzcie—mówiła do matki—jaki z Lorenza ojciec przykładny, jak dzieci pieści, jaki dobry dla nich... na rękach je nosi!...

Taka jedna uwaga wystarczała zwykle, aby ostudzić sztuczny zapał Lorenza. Pieszczone dziecko odsuwał wnet od siebie, posępniał i wreszcie z domu uciekał.

Amina oddawna już straciła dar intuicyjnego odgadywania myśli i chęci męża. Nie rozumiała go teraz wcale, a cała dzieciom oddana, nie widziała, że każdym ruchem, każdym niemal słowem zraża i oddala go od siebie. Lorenzo nie mówił jej już nic,

nie robił jej żadnych uwag lub przedstawień — zamilkł pochmurnie i znosił to życie z jakąś na pozór apatyą, rezygnacyą bezduszną.

— A gdy mi tak już sądzono — myślał—niech się stanie! Przewalczyłem przecież w życiu już wiele... wyrzec się musiałem domu, rodziny, dostatków, serca własnego zaprzeć się musiałem, czyżbym nie zdołał dalej unieść przyjętego na siebie ciężaru? Kończy się przecież wszystko na świecie i to życie mizerne się skończy!

Ale takie chwile apatyi krócej jeszcze trwały, niż usiłowania powrotu do rodzinnego życia. Jedna myśl przelotna, chwilowe zapomnienie się w zadumie nad morzem, burzyły ze szczętem cały gmach refleksyj. Jakieś dziwne przeczucie mówiło mu w duszy, że to być nie może kres życia, że czeka go jeszcze wielka rozkosz i wielka walka, że przyszłość przyniesie mu jakąś zmianę dziwną, nieokreśloną, pełną upojeń i szału, pełną szczęścia i łez...

Do zmiany tej wyciągał oba ramiona, ognisty wzrok wytężał w dal mglistą, która zdawała mu się tą przyszłością tajemniczą, kryjącą jego życia zagadkę—i czekał.

Raz—było to już późnym wieczorem — Lorenzo przechadzał się samotnie nad morzem. Zamyślony głęboko, szedł pustą ścieżką wiodącą ku Casamicciola przez ogrody i pola. Wieczór był letni, cichy, pogodny; niebo wyiskrzone gwiazdami odbijało się w morzu, które drżąc zlekka od powiewu wiatru, wzmagało jeszcze tę światłość niebieską, mnożąc gwiazdy w odbiciu promiennem na swej falistej powierzchni.

Od morza też płynął podmuch ciepły, łagodny,

upajający... i jakaś mgła srebrzysta podnosiła się nad niem, unosiła w powietrzu i otaczała zwolna Lorenza odurzającym czarem.

On szedł ciągle dalej, w tej atmosferze blasków i mgły, szedł zwolna, ale bezustannie, party niezwalczoną siłą naprzód—ku przeznaczeniu swemu...

Zapomniał, gdzie jest i co się z nim dzieje; zapomniał o Aminie i dzieciach, o całej rzeczywistości życia, którą tam za sobą, po za tą mgłą i blaskami zostawił, i zdawało mu się, że jest innym, dawnym, wcale niepodobnym do tego, który był rybakiem w Casamiccioli, wożącym turystów barką na morze.

Zdało mu się, że ta bezbrzeżna przestrzeń morska, falująca w blaskach gwiaździstych, to nie bezdenna a zimna otchłań wodna, ale żywy step ukraiński, pełen barw, woni i kwiecia, że te fale poruszające się zwolna, to pęki burzanów lub kłosy zboża kłaniające się za wiatru powiewem, że ten miarowy, stłumiony oddech morza, to dalekie echo głosów ludzkich i wpółsenna mowa skrzydlatych mieszkańców stepu, zrywających się do lotu w noc jasną...

I jego dusza także zerwała się do lotu.

Marzył, jak dawniej, marzył o przeszłości swojej, a myślą zabiegał w przyszłość, która mu się zdawała opromienioną wszelkiemi barwami niedoznanego szczęścia.

Nagle przystanął. Ścieżka, którą szedł dotychczas, kończyla się ogrodem, otaczającym jedną z najpiękniejszych willi Casamicciòli... Parterowe mieszkanie willi oświetlone było w tej chwili rzęsiście, z otwartych na oścież drzwi szklanych padała smuga promieni jasnych na klomby, drzewa i krzewy

i przez nie dochodziła aż do Lorenza. Wnętrze saloniku widzieć mógł wybornie: naprzeciw stało otwarte pianino z porozrzucanemi nutami, obok stolik książkami założony i wygodna otomana, narzucona miękkim dywanem, który pokrywał całą posadzkę pokoju. Wielka lampa, stojąca na stoliku, przyćmiona była pąsową lekką osłoną, wskutek czego całe wnętrze saloniku zdawało się jakąś ognistą otchłanią, pełną ciepła, odurzającej woni i czarów.

Na tem tle jaskrawem zarysowała się wyraźnie stojąca na werendzie postać kobieca. W białą, powiewną suknię ubrana, oparła ręce na balustradzie i nieruchomo w dal patrzyła.

Naprzeciw niej stał Lorenzo i ogniste swe spojrzenie utkwił w tę kobietę, która mu się zdała nieziemskiem zjawiskiem, taka biała i powiewna na tem tle purpurowem.

Rysów jej nie dostrzegł wcale, ale się domyślał, że musiała być dziwnie piękną; było niepodobieństwem, aby tej smukłej, wyniosłej postaci nie odpowiadały rysy twarzy... Musiała być smutną, bo czemużby tak patrzyła w dal nieruchomo, w zadumie. Nagle odjęła ręce od balustrady i przycisnęła je do piersi, z której mimowolnie wyrwało się ciche westchnienie, a potem słowa szeptane:

Na dalszą mękę — z tych ziemskich katuszy —
Żywej nie pragnę żadnej wynieść duszy.
Miłości niema w świecie—ni za światem,
Wszędzie szyderstwo, w którą pójdziesz stronę,
Jak nieskończoność, takie nieskończone...

Byłoż to złudzenie, czy rzeczywistość? Od lat wielu Lorenzo nie słyszał tych wierszy i nigdy je-

szcze mowa jego rodzinna, zasłyszana czasem przypadkiem, nie wydała mu się tak harmonijnie piękną...

Przysunął się bliżej do furtki zamykającej ogród...

Spróbował — była otwartą... Zcicha, ostrożnie, próg przeskoczył i osunął się na kolana wśród krzewów. Ztąd będzie ją mógł lepiej widzieć... Jakaś nieprzemożona siła ciągnęła go do tej ognistej otchłani, z której wynurzała się biała postać niewieścia.

Ale ta postać już zniknęła z werendy. Widział ją teraz w saloniku przechadzającą się wolnym krokiem. Wzięła książkę ze stolika i przystanąwszy, przerzucała kartki od niechcenia, ale wkrótce odrzuciła ją tak silnie, że spadła na otomanę, a z niej stoczyła się na ziemię. Usiadła przy pianinie i uderzyła w klawisze... Ponure tony pogrzebowego marsza Chopina ozwały się i popłynęły rozpaczliwą skargą w dal...

Nagle tony urwały się i zcichły. Młoda kobieta powstała, białe obnażone ramiona, wychodzące z szerokich rękawów sukni, podniosła do góry, jakby przeciągając się w znużeniu, i stała tak chwilę zwrócona twarzą ku Lorenzowi, cudowna w tej postawie, poetyczna i zmysłowo wabiąca swojem znużeniem, tęskna i rozkoszna zarazem.

I znów wyszła na werendę, jakby przyciągana magnetycznem spojrzeniem Lorenza, który patrzył wciąż na nią, pragnąc rysy rozpoznać w jaskrawem, otaczającem ją półświetle. I zdało mu się, że te rysy dostrzega, że widzi oczy ciemne, które iskrzyły

się jak gwiazdy i rozszerzoną źrenicą patrzyły przed siebie, że widzi usta wpółotwarte uśmiechem promiennym, pociągające ku sobie, zmysłowe, pragnące pocałunku, aby go oddać namiętnie...

Powoli, młoda kobieta zeszła po marmurowych schodach z werendy; na głowę zarzuciwszy szal lekki, przeszła przez ogród i furtkę, kierując się ku morzu.

Lorenzo już biegł przed nią, domyślając się zamiaru pięknej nieznajomej. Biegł aż do miejsca, w którem obok innych łodzi, kołysała się także na łańcuchu do pomostu przyczepiona, łódź jego: „Iskierka.“ Odpiął łańcuchy, rozwinął żagle i szybko puścił się napowrót na spotkanie nieznajomej. Zdala ją spostrzegł idącą już spieszniej—i nic nie mówiąc, jakby był pewnym tego, co nastąpić miało, przybił łódź do prawego brzegu w miejscu, z którego łatwo na pokład dostać się było można. Wyskoczył na brzeg i czekał. Czekał niedługo. Piękna nieznajoma zbliżyła się szybko ku niemu i rzekła tylko:

— *Al mare.*

— *Si, signora*—odparł Lorenzo.

Wskoczył napowrót do łodzi i wyciągnął ku niej rękę. Mała jak pieścidełko, miękka rączka spoczęła w jego dłoni i oparła się na niej mocno. Za chwilę nieznajoma była już w łodzi, która szybko z rozwiniętemi żaglami podążyła w nieskończoną przestrzeń mglistą.

Lorenzo siadł u steru naprzeciw nieznajomej i płomienistym wzrokiem patrzył na nią. Ona zdawała się go nie widzieć, cała zatopiona w swych dumaniach i zapatrzona w przestrzeń. Wkrótce Casa-

micciola znikła w odaleniu; brzegu już nie widać w pomroku... łódź chyżo leci naprzód w blaskach księżyca, który w tej chwili wypłynął na niebo.

Lorenzo widział terąz dobrze jej rysy. Były równie cudowne jak postać cała; może nie piękne klasycznie, ale pełne dziwnego, czarującego wyrazu. W ciemnych oczach, w tej chwili ku niebu wzniesionych, był zachwyt anielski, czysty, upojenie nieziemskie; za to w nozdrzach, które rozszerzały się nieco pod wpływem wzruszenia, w półotwartych ustach uśmiechniętych ku jakimś marzeniom, czy złudzeniom wyobraźni, przejawiała się w całej potędze rozkosz zmysłowa. Zdawało się, że te usta, jeszcze wilgotne od pocałunku, że rączęta drobne, wyciągające się jakby mimowolnie w zachwycie ku czarownej przestrzeni, chcą chwycić w objęcia niewidzialne jakieś zjawisko...

Nagle odwróciła głowę i spotkała się z oczami Lorenza utkwionemi w nią bystro, jakby się od jej postaci oderwać nie mogły, a mieniącemi się w cieniach fosforycznym blaskiem.

Lęk jakiś ją przejął. Przypomniała sobie, że ten rybak jakby czekał na nią, że łódź jego stała w niezwykłem miejscu i nagle przyszło jej na myśl, że wśród tej wodnej pustyni znajduje się w mocy tego człowieka, który szalonym, dziwnym swym wzrokiem, nawskróś ją przeszywał.

Powstała nagle z miejsca i głosem nieco drżącym, ale stanowczo:

— Wracajmy! — rzekła.

Lorenzo wstał także. Żal mu się zrobiło tej chwili, która zapadła już w przeszłość. Kto wie, czy

podobna powtórzy się jeszcze w życiu?... Kto wie, czy to wrażenie, jakie w tym momencie odczuwa, wrażenie upajające, rozkoszne, nie zniknie do jutra? Kto wie, czy spotkawszy nazajutrz tę kobietę, odnajdzie ją taką, jaką mu się teraz przedstawia, taką nieziemską a pociągającą, eteryczną a ponętną, taką świętą i taką zmysłową zarazem.

Stał i patrzył na nią, jakby nie słysząc rozkazu.

Och! jeszcze jedna, jedna chwila upojenia! To już niewątpliwie ostatnie w życiu, a zostanie po niem promienny ślad w duszy na resztę dni szarych, jesiennych. Gdyby z tych ust czarownych, co się przed chwilą uśmiechały tak upajająco, rozkosznie, gdyby wyszło choć jedno jeszcze słowo i to w tej mowie, jaką przed chwilą słyszał...

Szal wzięty w pośpiechu i zarzucony na głowę, zsunął się na jej ramiona, i postać jej, oblana księżycowym blaskiem, wysoka, smukła, wyniosła, ukazała się Lorenzowi w całej świetności swych wdzięków.

Twarz jej zmieniła nagle wyraz. Białe rozumne czoło, okolone ciemnemi włosami, zmarszczyło się groźnie, brwi się ściągnęły nad oczami, które już nie z zachwytem, ale jakby z oburzeniem i trwogą patrzyły przed siebie; wpółotwarte usta drżały...

— Wracajmy natychmiast! — powtórzyła po chwili raz jeszcze rozkazująco.

Lorenzo poskoczył ku rozwiniętym żaglom, aby zmienić kierunek, lecz ona, nie zrozumiawszy intencyi rybaka, nagłością jego ruchu zalękniona, zachwiała się i krzyknęła.

Silne ramię Lorenza objęło ją w pół i przycisnęło do piersi.

— Nie lękaj się, pani!—przemówił mimowolnie po polsku — nie lękaj się niczego... za pół godziny będziemy z powrotem.

Głos jego drżał ze wzruszenia, a wzrok płomienisty wciąż na nią patrzył. Pod siłą tego wzroku oczy jej przymknęły się, jakby olśnione magnetycznym blaskiem.. nie miała siły krzyknąć i odepchnąć zuchwałego rybaka...

Trwało to jedno mgnienie oka, jednę sekundę. Po chwili, oprzytomniawszy, wysunęła się zręcznie z ramion Lorenza i usiadła na dawnem miejscu.

Łódź, skierowana ku Casamicciol, mknęła chyżo z powrotem. Lorenzo usiadł znów u steru i już nie patrzył na nią; ona za to kilkakrotnie spozierała nań ukradkiem.

— Dziwna rzecz! ten rybak mówił po polsku... głos jego był jakiś miękki, melodyjny, rzewny; to nie głos prostego rybaka. I te oczy, takie piękne, wymowne, błyszczące... i cała postać niezwykła... Dziwna rzecz!

I nagle, nie zastanowiwszy się nad tem, co czyni, spytała:

— Jesteś Polakiem?... jak się nazywasz?

Lorenzo podniósł głowę i spojrzał chmurnie.

— Tak, pani—odrzekł—jestem Polakiem... nazywam się Lorenzo.

— Lorenzo! to imię nie polskie, a nazwisko?

— Nazwisko rzuciłem daleko... za ciężkie było do noszenia, a ja pragnąłem swobody—rybaka...

Uśmiechnął się gorzko.

Ona spostrzegła uśmiech i odwróciła głowę.... W niepojęty sposób zainteresował ją ten człowiek.... Dlaczego nie chce wymienić swego nazwiska? Może to zwykły wybieg, aby tajemniczością podrażnić ciekawość, wywołać współczucie i hojniejszą uzyskać zapłatę... Ale nie! Cała postać i twarz rybaka przeczyły takiemu posądzeniu; zresztą głos jego był taki dziwnie rzewny, melodyjny, z głębi duszy płynący, a taki głos nie kłamie...

Długi czas milczeli oboje.

Tymczasem „Iskierka“ przybiła do brzegu obok pomostu. Lorenzo pierwszy wyskoczył, podał jej rękę, a gdy wysiadła, rzekł:

— Już późno.... odprowadzę panią do wili Aurora...

Zkąd mógł wiedzieć, gdzie ona mieszka? Zadziwiło ją to wielce i znów zaniepokoiło. Ale nie odpowiedziała przeczeniem, skinęła owszem głową, okryła się szalem i poszła naprzód, milcząc. Obok niej postępował Lorenzo, ani słowem nie przerywając ciszy. Tak doszli do willi. Przez drzwi parterowe, na oścież otwarte, biegła smuga czerwonego światła od lampy, wiła się wśród klombów i krzewów ogrodu i zbladłym cieniem padała na drogę, wiodącą ku willi. Naprzeciw tych drzwi, na tle purpurowem światła, ona się zatrzymała. W dłoni trzymała monetę dziesięciofrankową, którą chciała wynagrodzić Lorenza. Już wyciągała rękę—i wstrzymała się nagle.

On stał naprzeciw niej z głową spuszczoną na piersi. Dostrzegł tę monetę w jej ręku, zrozumiał ruch i struchlał... Onby miał brać zapłatę od niej! to okropne... Wydała mu się potworną ta nagroda pie-

nieżna, za tak wielką, a może i ostatnią w życiu chwilę upojenia... Czuł, że dana i przyjęta zapłata, stworzy między nią a nim przepaść niezarównaną nigdy... Odtąd on swoich oczu na nią podnieśćby się nie ośmielił.

— Lorenzo...—prawie szeptem, nieśmiało przemówiła kobieta i wyciągnęła rękę, w której trzymała pieniądz.

Rybak wzdrygnał się cały, podniósł głowę, zbliżył się ku niej, pochylił do ucha i rzekł cicho, bardzo cicho:

— Nazywam się Roger S...

Wymienił nazwisko dźwięczne, znane powszechnie i znane dobrze pięknej kobiecie. Wymienił je — i jakby zawstydzony zwrócił się nagle i prawie pędem oddalił.

Ona została tak, zadziwiona bardzo, z dłonią wyciągniętą, z której pieniądz wypadł na ziemię. Wytężonym wzrokiem patrzyła za odchodzącym Lorenzem, aż zniknął w pomroce, poczem powolnie, z głową spuszczoną, w zamyśleniu głębokiem, przeszła przez ogród i wszedłszy na werendę, oparła się znów jak przedtem na balustradzie obiema rękami.

Lekki powiew wiatru przynosił dalekie echa głosów ludzkich... Na drodze, w oddali, mknął chyżo cień jakiś — to Lorenzo. I nagle jej uszu doszła tęskna nuta piosnki ukraińskiej:

U susida chata biła
U susida żinka myła,
A u mene ni chatynki,
Ani szczastia....

Reszta słów i nuty zginęły w oddaleniu.

— *Ani żinki* — dokończyła. — Czy Lorenzo wolny, czy...

To niedokończone pytanie zabrzmiało w jej duszy jakimś bolesnym dysonansem.

A cóż ją to obchodzić mogło? Usta zaśmiały się na samą myśl pustą. Cóż ją wogóle mógł obchodzić rybak jakiś, choćby się nazywał Roger S...? Nazwisko było dość znane, dla niej dziwnie sympatyczne. Słyszała nawet niegdyś o ruinie majątkowej tej rodziny i o zniknięciu nagłem jednego z jej członków. To zniknięcie połączone było z jakąś romantyczną historyą, której nie pamięta... Cóż ją to wreszcie obchodzi!

Weszła do saloniku. Jaskrawe światło lampy ją raziło... zdjęła ponsową osłonę i zarzuciła inną, ciemniejszą... W półcieniu będzie dobrze marzyć. Położyła się na otomanie, ramiona podniosła do góry i wyciągnęła się leniwie.

— Ach, to życie! to życie! jakie ono dziwnie nużące. Ta tęsknota, to wieczyste pragnienie czegoś nieokreślonego, co ludzie nazwali „szczęściem", a co istnieje tylko w bujnej wyobraźni... staje się prawdziwą torturą!

Nuta zasłyszanej dumki ukraińskiej zadźwięczała jej w uchu:

A u mene ni chatynki
Ani szczaśtia....

I u niej nie było szczęścia, to pewna. Przed laty kilku marzyła o niem. Życie śmiało się do niej

jaskrawemi barwami tęczy; miała zdaje się wszystko, co stanowić może szczęście. Kochała pierwszą, czystą miłością, kochała bez wahania, bez obawy zdrady, z całą ufnością i szczerością dziewiczego serca. On był także młody, piękny, poetyczny.. Ale złudzenie trwało krótką chwilę.. Nagle zrobiła się w koło niej straszna pustka; znikło wszystko jak fata morgana; jego poezya—okazała się wyrachowaniem; jego miłość — spekulacyą. Nadarzył się lepszy interes i... nastąpiło zerwanie... Nie umarła z miłości, ale zawód ten wyrył się w jej duszy niezatartem piętnem.

Czyż można wierzyć uczuciom budzącym się w sercu? Wszystko jest tylko chwilą, złudzeniem, które prędzej lub później przemija! Przebolawszy, wzięła się gorączkowo do pracy nad sobą, nad swoim umysłem, pełnym niepospolitych zdolności, nad talentem do malarstwa, który rokował świetną przyszłość.

Wkrótce też imię jej—Stella—stało się znanem powszechnie. Młodość i uroda ułatwiały jej wiele; rzeczywisty talent zdobywał nawet niechętnych... Poszła tedy artystyczną drogą; poszła z musu, z konieczności, bez zapału. O, z jakąż rozkoszą wyrzekłaby się wszelkich tryumfów zdobywanych pendzlem, byle mieć ognisko własne. być żoną kochającą i kochaną, być matką!

A może to pragnienie, to także ułuda, która pierzchnęłaby rychło, gdyby rzecz pożądana zmieniła się w rzeczywistość?... Być może! — ale czyż życie całe nie jest daremnem gonieniem za niepochwytną marą szczęścia?

Westchnęła. Ten tylko znalazł spokój, kto so-

bie wcześnie powiedzieć umiał, że daremnie goni i zaniechał wyścigu.

Toż od pewnego czasu serce Stelli jakby zamarło; zadawala się chwilą, nie szuka wrażeń; myśl jej nie bieży w przyszłość, nie widzi w niej ani ogniska rodzinnego, ani uczuć i rozkoszy matki i żony. Pesymizm ją ogarnął i płynąca zeń apatya. To usposobienie cięży jej czasem jak zmora, ugniata pierś, oddech tłumi. O, gdyby ją kto z pesymizmu uleczył, natchnął dawną wiarą, obudził zamarłe nadzieje!...

Ach, to życie! jakie ono nużące!... jak bardzo nużące!...

Wyciągnęła znów ramiona do góry i z pewną przyjemnością spojrzała na nie. Były rzeczywiście prześliczne, jakby utoczone... a rączęta jak u dziecka, malutkie, różowe, dziwnie miękkie.

Powstała, zrzuciła ciemną osłonę z lampy i zbliżyła się do wielkiego zwierciadła, które od stóp do głów jej piękną odbijało postać.

— Ta uroda—myślała—to może jedyna realna wartość w mojem życiu... Bądź co bądź, idę z nią w świat śmiało, pewna, że wszędzie spotkam uśmiech przychylny i dłonie... bratnie.

Uśmiechnęła się.

— Och, tych bratnich dłoni może mi aż nadto. Paluszek mnie boli, tyle dziś listów pisać musiałam do „braci“ w rozmaitych częściach świata. Ale to dla mnie nie straszne. Nie boję się złudzeń, bo mnie od nich strzeże pancerz pesymizmu. Ciężki on, ale bezpieczny.

Odwróciła się od zwierciadła i znów zamyśliła smutnie.

— Mój Boże, tyle w mem sercu było czułości, tyle wiary, tyle uczucia i to wszystko poszło na marne.

Łzy zakręciły się w jej ślicznych oczętach. Załamała białe dłonie i jakby jej duszno było w ścianach pokoju, wyszła znów na werendę. Ciemność i cisza zalegały dokoła. Księżyc już zaszedł i ciszę przerywał tylko monotonny szum morza. Stella stała tak długo, nieruchomo, ze wzrokiem wytężonym w nieprzebitą ciemność nocy.

I znów w jej myśli przesunęła się postać rybaka o płomienistym wzroku; zdało się jej, że glos jego rzewny, cichy, melodyjny, powtarza jej... dawno, w pierwszych dniach młodości słyszane wyrazy, które kołysały sercem rozkosznie.

Lorenzo późno w noc dopiero powrócił do domu i prawie do rana oka zmrużyć nie mógł. Gdy wreszcie zasnął zmęczony, obudził go wnet krzyk dzieci i krzątanie się Aminy około gospodarstwa.... Wstał chmurny, na żonę i dzieci nie spojrzał i uciekł co rychlej od tej rzeczywistości, która tak brutalnie rozpraszała jego marzenia. Gdybyż przynajmniej ją zobaczyć!.. Napróżno wszakże krążył około willi Aurory. Dzień był skwarny; Stella siedziała w pokoju zaciemnionym zupełnie i nie wyszła wcale. Wieczorem musiał się z nią rozminąć, bo nadaremnie także czekał do późna ze swą barką na wczorajszem miejscu. Od sąsiadów willi Aurory dowiedział się tylko jej imienia... i że piękna Stella jest malarką.

To go uradowało niezmiernie.

— Przeczułem, że jest artystką—myślał—a musi mieć talent niepospolity, prawdziwą iskrę bożą.

Na trzeci dzień dopiero od pierwszego poznania spotkał ją wieczorem idącą śpiesznie drożyną nad morzem.

Ukłonił się i przystanął.

— A to ty, Lorenzo! — zawołała Stella wesoło.

Mówiła do niego „ty“ bez wahania. Wszak był tylko rybakiem! Pierwsze wrażenie minęło i zbladło; ledwie pamiętała w tej chwili o rzeczywistem jego nazwisku i nie przyszło jej na myśl, że ten człowiek był równy jej urodzeniem, tylko nieszczęśliwszy od niej.

— Idę — mówiła dalej — wyprawić list ważny. A gdy wrócę, może pojedziemy na morze!...

Lorenzo wskazał ręką na schmurzone nad zachodem niebo

— Pogoda niepewna — rzekł. — Jeśli pani chcesz jechać na morze, to radzę uczynić to zaraz. Mamy pół godziny, godzinę może czasu przed sobą. Potem nadejdzie burza... Ja list oddam sam, dziś, jeśli pani powierzyć mi go raczy...

Stella zawahała się, ale po chwili, oddając list:

— Dobrze — odrzekła — jedźmy zaraz!..

I pojechali.

Słońce już zaszło. Nad zachodem kłębiły się czarne chmury, zajmując coraz większą przestrzeń. Morze było spokojne, ale jak gdyby drżące; małe, drobne fale podnosiły się i wnet znikały, białą rozpływając się pianą.

Lorenzo siedział milczący u steru, trzymając w ręku zaadresowaną kopertę. Wyczytał na niej nazwisko dobrze znane znakomitego malarza, które mimowolną, niewytłómaczoną przejęło go trwogą Każda litera tego nazwiska wpijała się jakby żądłem

w jego serce, paliła mu duszę jakiemś fatalnem przeczuciem.

Stella spojrzała na zbladłą twarz rybaka i nie umiejąc sobie wytłómaczyć jego nagłego a widocznego wzruszenia na widok listu, spytała:

— Czy znasz może tego malarza?...

Lorenzo drgnął.

— Nie, nie znam osobiście — odrzekł.—Widziałem go parę razy tu, gdy przyjeżdżał z Rzymu; znam jego obrazy. Malowane świetnie, ale martwe, bez życia.

Stella uśmiechnęła się ironicznie.

— Bez życia! — zawołała.— Nie pojmujesz chyba, co mówisz! A znaszże jego „Bachantkę“, jego „Niewolnicę“, jego „Gladyatorów“, albo „Wnętrze haremu!“... Czyż jaki inny malarz podnieść się zdołał do równej doskonałości kolorytu, do takiej prawdy w oddaniu kształtów i ciała kobiety?...

— A tak! — przerwał Lorenzo... — Piękne ciało kobiety, to szczyt sztuki tego malarza! Dla ducha nic, dla zmysłów wszystko; nic dla rozkoszy myśli, wszystko dla upojeń zmysłowych. Wszystko miękkie, wypieszczone, jasne; nęcące oko tłumów, zdumiewające profanów... Ale siły twórczej, ale potęgi pendzla, ale ducha, iskry bożej tam nie ma!

Stella chciała przerwać, ale Lorenzo w uniesieniu mówił ciągle. Jemu tak dawno nie zdarzyło się mówić o sztuce przezeń ukochanej, on tak dawno łaknął podziału myśli, pragnął wypowiedzieć to, co na duszy mu ciężyło.

Mówił z zapałem, wymownie. W śmiałym, oryginalnym poglądzie na sztukę wogóle rzucił kilka

świetnych myśli; to, co w dawnych jego artystycznych po Włoszech podróżach zrodziło się w jego umyśle i dojrzewało tam w długich dumaniach, to się teraz przelało w słowa jasne i dobitne. Obserwacye i studya, leżące dotychczas odłogiem, nie skrystalizowane w zdania, ujawniły się teraz w świetnem przemówieniu.

Stella, zrazu z uśmiechem niedowierzania, potem z zaciekawieniem widocznem, a wreszcie z zachwytem słuchała, patrząc w twarz Lorenza jak w tęczę.

Był niewymownie pięknym. Oczy siały iskry zapału, twarz pałała szlachetnem uniesieniem, a z ust niewstrzymanym potokiem płynęły słowa przejmujące silnem, wewnętrznem przekonaniem.

Nagle urwał i zamilkł, jakby zawstydzony.

— A, przepraszam panią! — zawołał.—Uniosłem się zbytecznie... zapomniałem..

Stella wyciągnęła ku niemu drobną swą rączkę.

— Mów pan, o mów, proszę!... — rzekła, nie śmiejąc już nazywać go jak przedtem — pan tak ślicznie mówisz... z takim zapałem... i tak rozumiesz sztukę... że doprawdy pojąć trudno...

Lorenzo ujął dłoń sobie podaną i zwolna do ust podniósł.

Stella nie broniła swej ręki, gdy on całował ją długo, przeciągle, namiętnie.

Usiadł przy niej.

— Pojąć trudno — powtórzył głucho.— To prawda. Powiedziałem pani przed paru dniami moje nazwisko, zapewne ci nie obce, którego od lat wielu nie noszę, dziś powiem ci w kilku słowach resztę

moich dziejów. Niech będzie przynajmniej jedna istota na świecie, któraby mnie zrozumiała...

— Słyszałaś pani może—mówił dalej po chwili — o katastrofie, jaka niespodziewanie moją rodzinę spotkała. Zastała mnie ona bezradnym. Od dzieciństwa zdradzałem artystyczne popędy i zachcenia, w rodzinie też zwano mnie fantastykiem i dziwakiem, chciano, abym się jął realnej, produkcyjnej pracy i stawiano rozliczne przeszkody w kształceniu się artystycznem. I skończyło się na tem, na czem zwykle w takich razach się kończy. Gdy nadeszła katastrofa, pozbawiająca mnie materyalnego bytu, nie posiadałem tego, o czem marzyłem i z czego w ostatecznym razie mogłem mieć chleba kawałek, a grunt, który mi był przeznaczony, usunął się nagle z pod stóp wydziedziczonego. Kochałem muzykę, grałem biegle, w salonach mogłem poklask wywołać, ale pierwszy lepszy nauczyciel znał lepiej odemnie to, co w każdej sztuce jest niejako rzemieślniczą jej stroną i bez czego przy zarobkowaniu obejść się niepodobna. Namiętnie kochałem malarstwo i sam próbowałem sił swoich w akwarelli i rysunku, ale i tu było tak samo jak z muzyką: zdolności pewne bez fachowej wiedzy. I ze wszystkiem innem tak było... Mogłem wszakże zostać nauczycielem prywatnym i sposobić innych do walki z życiem w taki sposób, w jaki mnie do niej przygotowano. Mogłem osiąść w mieście, zostać od biedy dziennikarzem, pisać teatralne recenzye lub uczone artykuły o wystawie sztuk pięknych; mogłem wreszcie na łasce krewnych pozostać lub nawet ożenić się bogato... Wszystkie te drogi

otwierały się przedemną, alem nie wybrał z nich żadnej. Dlaczego?...

Lorenzo zamilkł nagle i głowę opuścił na piersi.

Niebo pokrywało się coraz czarniejszemi chmurami. Wiatr zrywał się gwałtowny, szarpiąc rozwiniętym żaglem... Od zachodu ukazywały się błyskawice, coraz jaskrawsze i częstsze. Powietrze, przesycone elektrycznością, było duszące.

— Dlaczego?... — powtórzyła Stella zcicha, nachylając się ku Lorenzowi.

On podniósł głowę i spojrzał jej w oczy długo, przeciągle... Dusze ich połączyły się w tem spojrzeniu.

— Chcesz pani wiedzieć — rzekł stłumionym głosem — czego nikt z ust moich nie słyszał. Dobrze; powiem ci, bo tak jak w tej chwili na ciebie patrzę, zdajesz mi się do tamtej, mniejsza o jej nazwisko, podobną. Ona także miała takie oczy, pełne niebiańskich zachwytów, i takie usta wpółotwierające się promiennym uśmiechem. I noc była taka sama jak dzisiaj duszna i parna, i niebo takie schmurzone, pełne błyskawic i gromów, a ja jechałem z nią i jej ojcem przez bezgraniczny step ukraiński, jak dziś z tobą przez to morze... W świetle błyskawic ujrzałem ją tak piękną, jak teraz ciebie widzę, i tak samo ona pochylila się ku mnie i dusze nasze połączyły się spojrzeniem...

Zaczerpnął powietrza, odetchnął z głębi piersi i po chwili mówił dalej głosem stłumionym, urywanemi słowy:

— Przed wielu laty opuszczałem strony rodzinne na zawsze. Chciałem iść w świat i pracować na życie tak, aby się utrzymać bądź co bądź na właściwem stanowisku. Pełną głowę miałem projektów i planów, a po raz ostatni objeżdżałem dalszą i bliższą rodzinę, aby ją pożegnać. Ojciec jej był mi krewnym dalekim; majętny bardzo, marzył dla swej jedynaczki o świetnem małżeństwie i rzeczywiście mógł marzyć. Ona zdawała się posiadać wszystko, co tylko życie dać może, co tylko w świecie zapewnia powodzenie i tryumfy: majątek, imię dobre, urodę i rozum niepospolity w jasnowłosej główce. Znałem ją prawie od dzieciństwa, widywałem dość rzadko i nigdy nie przesunęła mi się przez głowę myśl starania się o jej rękę Wiedziałem, że były tam inne projekta, bardzo świetne; wiedziałem, że jej młode serduszko zajęte było czas dłuższy, wbrew woli ojca, jednym z moich blizkich krewnych i wiedziałem także, że związek ten, bardzo przez nią upragniony, nie doszedł do skutku z powodu sprzeciwienia się ojca, który miał żelazną wolę i nie znosił oporu. Ojciec ten, nieubłagany despota w domu, miał wszelkie pozory dobroduszności w obejściu się z obcymi. Nie lubiłem go, zwłaszcza od czasu, gdym się dowiedział, że pomimo wyraźnej niechęci córki, zniewala ją do oddania ręki człowiekowi, który wysokie stanowisko zawdzięczał tylko głośnemu nazwisku swemu i niem pokrywał wielką pustkę w głowie i gorszą jeszcze pustkę w sercu. Byłbym się nawet może z nim i córką jego nie widział już nigdy, gdyby nie fatalizm, który nas razem do jednego z domów pokrewnych sprowadził. Na uprzejme

zaproszenie jej ojca, przyrzekłem, że z nimi razem pojadę do ich majątku, o kilka mil ztamtąd odległego. Pojechaliśmy też w letni wieczór, po dniu niesłychanie upalnym. Zmierzch zapadał wcześnie, bo ostatnie dnia błyski rychło zgasiły czarne i gęste chmury, grożące burzą...

— Wjechaliśmy w step nieskończony; pożółkłe burzany i kwiaty polne wyciągały ku niebu suche, kolczaste swe łodygi i kielichy, jakby się dopraszały po długiej posusze kropli orzeźwiającego deszczu. Nagle wiatr zadął silny i zakołysał tem morzem traw i burzanów, które wydały szum głuchy i tęskny. A potem ozwał się grzmot zrazu daleki, potem coraz częstszy i silniejszy; schmurzone niebo przebiegały połamane strzały piorunowe i naraz cały horyzont zajaśniał jaskrawą łuną. Sklepienie niebios otworzyło się jak otchłań płonącego ognia i zawarło się równie nagle, pogrążając nas w nieprzebitych ciemnościach. Zaledwie oko oswoić się mogło z tą nocą, aliści znów błyskawica olbrzymia rozdarła niebo z krańca w kraniec. Od zachodu dął wiatr silny, ale duszący, jak oddech piekielnych czeluści, morze burzanów kołysało się ciągle z głuchym monotonnym chrzęstem, a my staliśmy wśród stepu, który raz ukazywał się nam w całej swej przestrzeni, jakby oblany lawą płomienistą, to znikał z przed oczu naszych w ponurych cieniach nocy.

— Staliśmy, bo konie przerażone, oślepłe nagle od błyskawicznych blasków, dalej iść nie chciały. Ojciec jej, wyszedłszy z powozu, gniewał się nie wiedzieć dlaczego na stangreta i wymyślał koniom, głosem, laską, ręką własną próbując naprożno skłonić

je do dalszej podróży. Ja siedziałem naprzeciw niej w powozie, milczący, ponury, ulegając mimowoli i bezwiednie wpływowi duszącej atmosfery tego wieczoru. Krew mi biła nieustannie do głowy, skronie pałały, serce młotem uderzało w piersi. Chciałem wysiąść także, ale gdym kładł rękę na drzwiczkach powozu, aby je otworzyć, poczułem na niej aksamitną dłoń miękką, która mnie wstrzymała.

Zwróciłem się ku niej i nagle w jaskrawem świetle błyskawicznej łuny ujrzałem twarz jej bladą, zmienioną, pełną lęku w rozszerzonej źrenicy.

— Nie odchodź pan! nie odchodź... — szepnęła. — Ta burza taka straszna...

— Nigdy nie widziałem jej tak piękną. Znałem ją od lat tylu, podziwiałem jej rysy, jej smukłą kibić, włosy prześliczne, ale podziwiałem chłodno, obojętnie. Cała jej postać wydawała mi się nieco sztywną, zimną, jakby zmartwiała bez pieszczot matki, która odumarła ją dzieckiem, a pod okiem despotycznego ojca. Teraz dopiero, w chwili obawy, po raz pierwszy przedstawiła mi się ona pod wpływem silnego wzruszenia. Pierś jej wznosiła się gwałtownie, a małe rączki wyciągały ku mnie. Powtarzała ciągle:

— Nie odchodź! nie odchodź! — i patrzyła na mnie błagalnie

— „Cóżby to była za rozkosz, gdyby te oczy spojrzały miłośnie...“ pomyślałem w tej chwili. Ująłem ją za obie rączki i uspokajać zacząłem. Ona pochyliła się jeszcze bardziej ku mnie, tak, że czułem jej oddech na mojej twarzy, a ilekroć błyskawica rozjaśniła wnętrze powozu, tyle razy widziałem jej

oczy duże, ciemne, pełne blasku ku mnie skierowane. Rączki jej drżały w mojej dłoni.

Nagle rzuciła się w głąb powozu i wyrwała mi rękę. Ojciec po długiej dyskusyi ze stangretem powracał, a wsiadając, oznajmił nam, że do celu nie dojedziemy, bośmy drogę zmylili i noc spędzić musimy w poblizkiej karczemce.

Konie, prowadzone przez stangreta, zaczęły iść noga za nogą, co chwila stając oślepione błyskawicami. Siedzieliśmy milcząc, ona główkę oparła na poduszkach powozu, oczy przymknęła i oddychała ciężko. Co chwila widziałem ją w blaskach elektrycznych, jakby magnetycznie uśpioną, odczuwającą wyraźnie mój wzrok w nią utkwiony i to samo wrażenie, jakie mnie ku niej pociągało.

Byłem pewny, że myśl jej w owej chwili była ze mną, że ona mnie widzi pomimo powiek przymkniętych, że jej małe rączęta wyciągnięte na kolanach, zaciskają się chwilami pod wpływem tego samego uczucia, które i mnie opanowało...

Jechaliśmy tak długo, może godzinę całą, coraz bardziej gnębieni atmosferą duszącą, upalną i upajającą zmysły, coraz więcej ku sobie zbliżeni i zbliżający się mimowiednie... Była chwila, że ręka moja, dotknąwszy przypadkiem jej białej dłoni, cofnęła się nagle, jakby pod wpływem elektrycznego prądu, który przeniknął mnie całego, a potem bezwiednie pochwyciła rączkę malutką, miękką i trzymała długo w gorącym uścisku...

Dojechaliśmy wreszcie. W karczmie była jedna wielka izba, w której noc mieliśmy przebyć. Ojciec jej, znużony nad wyraz i rozdrażniony, kazał sobie

natychmiast urządzić legowisko na sianie i wpół godziny zasnął mocno, świadcząc przeciągłem chrapaniem, że nerwy jego, chwilowo rozstrojone. do równowagi i spokoju wróciły. Ja usiadłem na ławie przy dużym stole, oparłem się na nim i gotowałem się tak noc całą przepędzić, nie myśląc o spoczynku. Ona zajęła miejsce naprzeciw mnie, odgradzając się odemnie całą długością stołu; pomiędzy nami stała jedna świeczka łojowa w glinianym lichtarzu, na bok przekrzywiona, a płomień coraz większy, coraz jednak mniej rzucał światła, tłumiony olbrzymim knotem, który wśród niego jak grzyb wyrastał. Patrzyliśmy oboje na tę świecę, na knot rosnący nam w oczach i na łój spadający coraz obficiej i stygnący na stole. Ona machinalnie podjęła z ziemi jakieś drewienko i poprawiała pokrzywioną świecę, ale ani razu nie spojrzała na mnie. Może się wstydziła wrażenia, jakiemu uległa mimowolnie w czasie burzy, w powozie. Nie mówiliśmy do siebie ani słowa.

Tymczasem burza szalała ciągle. Wiatr dął coraz gwałtowniejszy, lecz błyskawice się zmniejszyły, a natomiast z chmur czarnych lunął deszcz rzęsisty, wśród nieustającego huku grzmotów. Trwało to już wszakże krótką chwilę. Odgłos grzmotu stawał się coraz dalszym, deszcz nawalny uspokajać się zaczynał i wkrótce słyszałem już tylko monotonne brzęczenie szyb w oknach, uderzanych dużemi kroplami spadającemi z dachu. Ona teraz wstała od stołu i zbliżyła się do okna, ukrytego w głębokiej framudze. Tam usiadła na krześle i zniknęła mi z oczu...

Płomień świecy, coraz bardziej tłumiony naro-

słym knotem, począł migotać, tworząc fantastycznie tańcujące cienie na brudnych ścianach izby. Wpatrzyłem się machinalnie w ten migocący płomień i słuchałem monotonnego brzęczenia okien, nie myśląc o niczem. W głowie zaczęło mi szumieć, jakieś znużenie opanowywało mnie mimowolnie i nie wiem, kiedy usnąłem.

Gdym się obudził, izbę zalegała ciemność. Świeca wypaliła się, a raczej stopiła do szczętu i zgasła; deszcz już wcale nie padał, tylko jeszcze od czasu do czasu krople ściekające z dachu uderzały w szyby; przez okna wnikała do wnętrza wielka błękitna smuga promieni księżycowych i łamała się na nierównej, ceglanej podłodze.

Ojciec jej spał ciągle, chrapiąc głośno... Czy też ona usnęła?.. Wstałem i na palcach zbliżyłem się do okna...

Z głową opartą o ścianę framugi, z twarzą ku mnie zwróconą a tonącą w świetle księżycowem, spoczywała w śnie głębokim. Jedną ręką wspierała się na wystającym od okna przymurku, a drugą opuściła bezwładnie; oddech jej był równy, miarowy, spokojny. Spała. a w tym śnie była czarownie piękną. Z zachwytem uwielbienia patrzyłem na tę postać, która w blaskach błękitnych jakąś dziwnie powiewną, eteryczną, jakby nieziemską się zdawała... A jak przytem ponętną! pociągającą! Obudzić ją z tego snu martwego, rozgrzać pocałunkiem, rozpłomienić miłością, kazać otworzyć się tym zamkniętym powiekom i wywołać w spojrzeniu ogień uczucia, kazać tym ramionom, w tej chwili bezwładnym,

spleść się w uścisku namiętnym — o, cóż to za rozkosz!...

Ta myśl przeniknęła nagle mą duszę jak iskra piekielna. Jednym krokiem byłem tuż koło niej... Ona spała, cicha, spokojna, bezbronna.

Lorenzo urwał nagle. Głos jego stawał się coraz cichszym, aż stłumił się w piersi i złamał.

Ręką tarł czoło, a wreszcie oczy zakrył i milczał.

Stella obie ręce na kolanach wsparłszy, przysunęła się ku niemu, chłonąc niejako wpółotwartemi usty każde jego słowo i patrząc nań błyszczącym gorączkowo wzrokiem. Serce jej biło gwałtownie i zapierało oddech w piersi. Słowa i obecność Lorenza, jego oczy ciskające fosforyczne blaski, upajały ją, działały na nią fascynacyjnie.

Chmury pokrywały już całe niebo, które od czasu do czasu rozpromieniało się błyskawicą; wiatr coraz silniejszy kołysał łódką, która lotem ptaka mknęła naprzód.

Długą chwilę trwało milczenie, którego Stella przerywać nie śmiała. Wreszcie Lorenzo podniósł na nią oczy i głosem cichym a głębokim:

— Czy mam mówić dalej?... — zapytał.

— O, mów, mów! — szepnęła Stella.

On westchnął, zaciągnął powietrza w głąb' piersi i tak kończył:

— Dziwną potęgę obronną ma taki sen spokojny, anielski... Naraz, gdym tak stał pochylony nad tą cudowną uśpioną postacią, przejął mi serce jakiś lęk niewytłómaczony i wielka cześć dla bezbronności dziewiczej. O, czemuż nie uciekłem wów-

czas! Ale nie miałem siły oderwać się od tego widoku. Mimowiednie upadłem na kolana, ująłem jej dłoń zimną i przycisnąłem do ust swoich, pałających gorączką. Jakby tknięta iskrą magnetyczną, drgnęła ona całem ciałem, nie obudziła się, ale oddech jej stawał się z każdą chwilą szybszy i głębszy... Poruszyła się niespokojnie i nagłym ruchem, wyzwalając dłoń swoją z moich uścisków, wyprężyła obie ręce przed siebie, a potem opuściła je bezwładnie na moje ramiona. W tem niespodziewanem objęciu straciłem przytomość. Podniosłem oczy na twarz jej i ujrzałem ją promieniejącą szczęściem... Oczy miała zawsze zamknięte... spała widocznie, ale usta otwierały się rozkosznie, pociągając niezwalczoną siłą... Oszołomiony, bezprzytomny, podniosłem się z klęczek, pochyliłem nad nią i pocałunek długi, upajający, namiętny, połączył nasze usta... Nagle ona otworzyła oczy... wzdrygnęła się, powstała i gwałtownym ruchem odtrącając mnie od siebie, krzyknęła.. Struchłały, upadłem na ławkę, kryjąc twarz w dłoniach...

Ojciec jej przebudził się na krzyk ten i zalęknionym głosem głosem zapytał, co się stało?

— Nic. ojcze — odrzekła — zasnęłam przy oknie w promnieniach księżyca i sny jakieś miałam dziwaczne.

— To bardzo niezdrowo — zauważył ojciec — usiądź gdzieindziej

— A Roger? — dodał, już znowu usypiając.

Pytanie to zostało bez odpowiedei. Ja bez ruchu, zaparłszy dech w piersiach, siedziałem na ła-

wie, jakby w martwem odrętwieniu. I ona także już nie spała: słyszałem jej ciche westchnienia i coś jakby łkanie, jakby płacz tłumiony.

Lorenzo znow przerwał, ale po krótkiem milczeniu mówił dalej, coraz szybciej, jakby mu śpieszno było do końca.

— Ta noc i ten pocałunek wywarły wpływ stanowczy na całe moje życie. Odtąd spada ono stanowczo w przepaść i nareszcie kończy się tu, nad morzem, w tej łodzi..

Nazajutrz nie patrzyła na mnie, odwracała się umyślnie z niechęcią, a gdy, podrażniony tem jej zachowaniem, zapytałem ją zcicha o sen jej dziwaczny, który krzyk wywołał... spojrzała na mnie z oburzeniem i powiedziała, że mnie nianawidzi... Ale nienawiść ta była dziwną w swoich objawach. Tegoż wieczora, gdyśmy już przybyli na miejsce, przechadzając się w cienistych alejach ogrodu, spotkałem ją niespodziewanie. Rzuciła mi się na szyję i wyznała, że mnie kocha... Miłość to była niezwykła, gwałtowna, która na nas oboje spadła jak grom i odrazu wszelką siłę refleksyi stłumiła. Poddaliśmy się temu uczuciu bez walki, nie śmiejąc patrzeć w przyszłość. Ona przysięgała mi miłość wieczystą, co bądź się stanie... a ja wówczas w przysięgi wierzyłem!...

Cóż więcej mam dodać?... Stało się, co się stać musiało. , Jednego wieczora pożegnałem ją, musiałem pożegnać Podejrzliwość ojca została obudzoną; jakim sposobem? — ja nie wiem. Wyprawił córce gwałtowną scenę, której się domyśliłem z jej zapłakanych oczu, mnie zaś dał do poznania, że po-

ra, bym pomyślał o przyszłości mojej, którą ciężką pracą zdobywać należy...

Pożegnałem ją tedy, żegnany ze łzami. Odjechałem w noc chmurną i dżdżystą, uwożąc z sobą niepokonaną już nigdy tęsknotę i jej przesięgę, że będzie mi wierną, że czekać będzie.. dopóki nie wrócę.

Przebywałem jeszcze czas jakiś w kraju, nie mając siły oddalić się od niej Ale wkrótce dochodzić zaczęły mnie wieści, które zmusiły do wyjazdu. Nie wiem, czy ojciec sam, czy też łaskawi sąsiedzi rozpuścili wieści w najwyższym stopniu mi ubliżające; mówiono, iż chciałem podstępem zdobyć rękę bogatej dziedziczki, aby módz prowadzić dalej próżniacze życie... Na tem tle najhaniebniejsze rozpowiadano rzeczy. Zrazu chciałem wystąpić i bronić czci mojej, ale ona w listach błagała mnie, abym dla jej spokoju przeniósł cierpliwie tę próbę i... wyjechał z kraju. Wyjechałem tedy za granicę szukać pracy i byłbym ją znalazl; dla niej czułem się zdolny do wszystkiego, dla jej miłości umiałbym i potrafił walczyć. W tej walce zagrzewały mnie jej listy, czułe, namiętne, pełne obietnic i przyrzeczeń..

Aż nagle, w chwili najwyższego roztęsknienia, gdy serce moje rozpływało się całe we wspomnieniach o niej... przyniesiono mi list, a raczej trzy listy w jednej kopercie... Rozpieczętowałem je i zrozumiałem tylko te wyrazy: „Przeceniłam własne siły... nie jestem stworzoną do walki... Woli ojca nie złamię, a tobie kłamać nie chcę... kłamać nie umiem.. Mówiłam kocham, gdym kochała, a teraz... teraz... zamarło we mnie, co żyło!..“

Lorenzo wstał — jakiś jęk głuchy rozdarł mu piersi — mówić dalej nie mógł. Zbliżył się do steru, zwinął żagle, bo wiatr był coraz gwałtowniejszy i skierował łódź z powrotem.

Stella pałającym wzrokiem śledziła każde jego poruszenie. Na twarzy jej widoczne było wzruszenie głębokie, a gdy Lorenzo znów zbliżył się ku niej, wyciągnęła ku niemu obie dłonie:

— Biedny! biedny! — szepnęła.

On usiadł przy niej i trzymając jej drobne rączęta, rzekł:

— Otóż wiesz wszystko. Co nastąpiło potem było nieuchronnem. I we mnie zamarło, ale nie uczucie, lecz to wszystko, co stanowi dźwignię w życiu: wiara we własne siły, wiara w przyszłość, w serca ludzkie, w stałość uczuć i niezłomność przysięgi... Ona od tej chwili umarła dla mnie, a ja żyję — trupem. Nie miałem już siły walczyć i dobijać się stanowiska, a lękałem się tej nędzy, która żyje pożyczanym blichtrem, która jest wieczystem, mordującem kłamstwem, zmuszającem twarz do obłudnego uśmiechu, gdy je krzywi kurcz głodu Zresztą z kraju przez podróżujących ziomków dochodziły wszędzie wieści, ubliżające czci mojej i utrudniające mi walkę. Wolałem zatem zejść do sfery prostaczków, zarabiać na życie pracą, która nuży fizycznie, zatrzeć wszelki ślad dawnego życia, które mi tyle dało goryczy...

I oto dlaczego jestem rybakiem w Casamiccioli...

Lorenzo skończył, pochylił głowę i zamilkł pochmurnie, obracając machinalnie w ręku kopertę zaadresowaną do znakomitego malarza.

Stella stała teraz przed nim, wysoka, wspania-

ła, patrząc nań śmiało rozpromienionym wzrokiem, w którym jakieś silne widniało postanowienie.

Położyła rękę na jego ramieniu

— Ale ty tu zostać nie możesz!...—zawołała— nie powinieneś tu zostać! Ja ci nie dam marnieć w ten sposób.. Czas już przeboleć... wszak są jeszcze serca wierne i dusze zacne, które cię ocenić potrafią.

Lorenzo wstał także. Był blady bardzo, patrzył w rozpromienioną zapałem, cudowną twarz Stelli i w oczach jego, przed chwilą łzami zamglonych, zapalały się znów fosforyczne błyski.

— Czyż są serca wierne? — zapytał głucho

Łódź w tej chwili przybijała do brzegu.

Stella nie odpowiedziała nic na ostatnie pytanie Lorenza, ale nagłym ruchem wyrwała mu z ręki list do artysty, podarła go w kawałki i wrzuciła w morze... Drobne papierki, uniesione wichrem, zamigotały jak białe mewy wśród cieniów..

Lorenzo objął ją całą ognistem spojrzeniem, jakby przeniknąć chciał do głębi jej najskrytsze myśli. Ona uśmiechnęła się doń promiennie i wyskakując z łodzi, szepnęła:

— Wszak mnie odprowadzisz do willi Aurory?...

W tej chwili burza, która w ciągu wieczora groziła, wybuchnęla z całą gwałtownością. Wśród huku grzmotów i błysku piorunów, Lorenzo i Stella szli dobrze znaną sobie drogą, spiesząc się zdyszani. I znów stanęli tam u furtki, gdzie z drzwi parterowych na oścież otwartych, padała na klomby i krzewy smuga czerwonego światła od lampy.

Stella wyciągnęła doń rękę.

— Ty nie możesz tu zostać, Lorenzo! — powtórzyła z mocą.

— Ja zostać tu muszę... — odparł rybak głucho... — Odgrodziłem przepaścią życie moje dawne od teraźniejszości... Ożeniłem się z córką rybaka i mam dwoje dzieci...

— A! krzyknęła Stella i zwróciła się nagle ku willi, jakby uciekać chciała.

Lorenzo zaśmiał się ironicznie.

— A widzisz pani — rzekł — że dla mnie ratunku niema... Serca wierne i dusze zacne nie dla takich, jak ja niewolników.

Ale już Stella zbliżyła się znów ku niemu.

— Nie! — zawołała gwałtownie — ja cię ocalić muszę! ja ducha twego ocalić powinnam... Co bądź się stanie, nie opuszczę cię, boś mi serce poruszył swoją opowieścią, bo... ja cię kocham, Lorenzo!..

Przerażający huk piorunu zagłuszył ostatnie słowa Stelli, która, jakby przerażona tem co wyrzekła, zwróciła się nagle ku domowi i znikła wkrótce w drzwiach willi.

Lorenzo został sam, na drodze, wśród burzy, która szalała... ale w duszy jego zaczynało rozpromieniać się pogodnie. Czyż to być mogło złudzenie?

* * *

— Więc ty przypuszczać możesz, Lorenzo, że cofnęłabym się dlatego, żeś biedny, żeś nieszczęśliwy, żeś skrępowany i rozgoryczony życiem? Więc sądzisz, że kochałabym cię więcej dla wolności twojej

lub szczęścia? O, jakże mnie nie znasz! Kochaj mnie tylko stale, bądź mi wiernym, a zobaczysz, że cię nie opuszczę nigdy... I nie myśl, że mi w czemkolwiek na przeszkodzie stajesz, że ja kiedykolwiek żałować mogę tego, com dla ciebie uczyniła. Ja w życiu nie mam już zgoła żadnej nadziei, moją duszę gnębi pesymizm i gorycz zawodu... Gdyby mi twoja miłość nic więcej nie przyniosła, tylko lekarstwo na niewiarę, która mnie zabija, jużbym cię wielbiła do śmierci.

Tak mówiła Stella patrząc w błyszczące oczy Lorenza i tuląc się w jego objęciach.

On jeszcze wątpił... To upojenie, ta rozkosz, to szczęście tak go niespodziewanie spotkały, że w duszy jego po chwili uniesień rodziło się mimowolnie pytanie: „Być-że to może, żeby kobieta tak piękna, z taką przyszłością przed sobą, z takiem sercem, pełnem zapału i wyobraźnią ognistą, mogła o wszystkiem zapomnieć i wszystko poświęcić dla biednego rybaka w Casamicciolí?... To niepodobna... to tylko obłęd wyobraźni i zmysłów igraszka..“

Ale refleksye te i przeczucia tłumił sam rychło wobec gorących zapewnień i przyrzeczeń Stelli. Ona przecież nie wymaga nic, tylko miłości wiernej, a uczucie takie to jedyna dźwignia w życiu bezbarwnem. Przyjdą zapewne srogie chwile tęsknoty, rozłączenia, lecz wówczas żyć się będzie myślą ponownego spotkania, a w spotkaniu takiem ileż szczęścia, ileż rozkoszy?...

— Nie wymagajmy zbyt wiele od życia — mówiła ona, uspakajając obawy i złowieszcze przeczucia Lorenza — bierzmy to, co nam daje, co tylko

dać może chwile promienne... a kto wie, co nam przyszłość przyniesie!

Przyszłość! ona Lorenzowi wydawała się zawsze nierozstrzygniętą stanowczo... W jaki sposób pęknąć miały te więzy, jakie na siebie w chwili rozgoryczenia nałożył, nie zastanawiał się nad tem... ale zdawało mu się niepodobieństwem, aby nie pękły... Przysięgi i zapewnienia Stelli, wybiegającej naprzeciw niemu z otwartemi rękami, jej miłość, zdradzająca się nieustannie w każdem słowie i kroku, rozkołysały serce jego zupełnie.

Stella wydała mu się wielką, bohaterską, wspaniałą.

— Kocha bez nadziei...—myślał—poświęca się dla nieszczęśliwego rozbitka losu, to szczytne! Cóż wobec takiego uczucia miłość innych kobiet, które wzamian za nią otrzymują wszystko, co daje życie rodzinne: stanowisko żony i matki, imię i opiekę męża. Moja miłość cóż jej przynieść może? tylko gorycz, klątwę świata, może wyrzut sumienia... nic więcej.

I wszystkie te myśli wypowiadał Stelli, wykazując ogrom jej ofiary i swoją nędzę.

Ale Stella wzruszała ramionami i uśmiechała się gorzko:

— A! cóż mi świat!—mówiła—znam jego rozkosze i nie pragnę ich wcale; gardzę wyrokami ludzi, którzy uczucia serca chcieliby poddać pewnym nieugiętym formom

A gdy Lorenzo jeszcze się wahał i w ofiarnem uniesieniu przedstawiał, że przed nią życie długie, że

może za mąż wyjść i być szczęśliwą... ona rączką białą zamykała mu usta, szepcząc miłośnie:

— Dręczysz siebie i mnie napróżno, Lorenzo. Nie umiesz korzystać z chwili, trwożąc się przewidywaniami przyszłości. Ależ ja za mąż iść nie chcę... nie pójdę!... Nie znam półśrodków, półuśmiechów i połowicznych uczuć. Oddałam tobie serce moje na zawsze i bez żadnych zastrzeżeń...

I jakby w obawie, aby się nie cofnął i nie odszedł od niej, poświęcając miłość swoją dla jej przyszłości, dodała z mocą:

— Pamiętaj sobie, Lorenzo... Czuję to głęboko, że gdybyś mnie opuścił, gdybyś mnie kochać przestał.. czekałby mnie chyba jakiś okropny upadek fizyczny i moralny!...

Lorenzo aż się wzdrygnął na tę groźbę. Nie! wahanie było niemożliwe. Ona go kocha i kochać będzie na zawsze, a on jej odstąpić nie może, nie powinien, bo zawód taki dla jej rozgoryczonego serca byłby śmiertelnym ciosem.

A dzieci? Amina?

Stella unikała o tem wzmianki. Przedstawiała tylko czasem Lorenzowi, że z życiem dotychczasowem zerwać musi, że niepodobna, aby taki umysł, jak jego, marnieć miał w tak strasznem upośledzeniu. Jemu zaś coraz częściej przypominały się obowiązki, które mu zawsze ciężyły, a dziś na drodze do szczęścia stawały zaporą. Ale on przecież obowiązków gwałcić nie chce. Serce jego nie należało nigdy do Aminy, która zresztą zobojętniała dlań zupełnie, żadnej w jego mniemaniu nie ponosiła krzywdy. Miała dom, opiekę dzieci, które całą duszą kochała.

Cóż on mógł dać jej więcej? Serca zniewolić niepodobna!

I tak wzajemnie pociągając się ku sobie, brnęli dalej w tę miłość, pełną rozkoszy, szału i upojeń...

Stella nie badała nawet dotychczas własnego uczucia i nie zastanawiała się nad niem. Bez żadnych oczywiście zastrzeżeń serce jej oddało się tej miłości, która opanowała ją gwałtownie, nie dając czasu do zastanowienia. W walce z wątpliwościami, jakie się podnosiły w duszy Lorenza, przytaczając argumenta, podyktowane jej wrażeniem chwili, umacniała się sama we własnem uczuciu, potęgowanem ciągłe obecnością ukochanego, która działała na nią jak narkotyk. I tak minął czas długi bez żadnego z jej strony wahania.

Lorenzo przychodził codziennie wieczorem do willi Aurory. Zrazu przybywał tam rozpromieniony i szczęśliwy. Rozmawiali długo, a w tych rozmowach dusza jego, spragniona podziału myśli i uczuć, rozszerzała się i wznosiła na skrzydłach zapału.

Mówili najczęściej o sztuce; on udzielał jej swoich uwag, ona wypowiadała swoje zdania i opinie, nieraz zupełnie z jego przekonaniami sprzeczne. Lorenzo był idealistą, ona skłaniała się ku realistycznym kierunkom, a ztąd nieraz żywa wywiązywała się dyskusya. Rozchodzili się niepokonani wzajemnie, ale zawsze zgodni w uczuciu, które ich łączyło.

Od pewnego jednak czasu Lorenzo przychodził smutny. Zdarzało się, że całemi godzinami milczał, a wówczas niepodobna było ożywić go i rozruszać. Stella używała wszelkich sposobów, uśmiechała się doń wdzięcznie, białe rączęta wyciągała ku niemu,

próbowała rozmaitych tematów w rozmowie—ale napróżno. Lorenzo odchodził w chmurnem zamyśleniu, na czułe spojrzenia Stelli zdawał się nie zwracać uwagi, albo ich wyraźnie unikał, na zapytanie: czy ją kocha? odpowiadał wprawdzie potakująco, ale jakby z przymusem.

— Co mu się stało? co mu się stało? — mówiła Stella, gdy pozostawszy sama, wśród nocy, dręczona bezsennością i okropnem jakiemś przeczuciem, łzawe swe oczy wznosiła ku niebu i drobne załamywała rączki. — Czyliżby miało już gasnąć w jego sercu to uczucie, które się zdawało tak potężnem i ognistem? Czyliżby chciał ją opuścić?... A! to byłyby okropne!

Z początku żal jej było niewymownie samego uczucia, żal jej było chwil pełnych upojenia, które zniknąć miały w niepowrotnej przeszłości, ale potem, zwolna, zaczęły jej przychodzić inne myśli...

Och, myśl ludzka! ta nieuchwytna, lotna jak iskra i jak iskra paląca, nieodłączna towarzyszka człowieka... jakże wielka, jak nieograniczona jej potęga! Częstokroć czyn dokonany doraźnie, pod wpływem silnego wrażenia lub uczucia, nie skazi tak duszy, nie przepali tak serca, nie sprowadzi takiego zamętu w całym moralnym organizmie ludzkim, jak myśl przelotna, która zrazu na chwilę zabłyśnie, a potem znów wraca, wraca ciągle, coraz uporczywszą się staje, dopóki nie opanuje zupełnie wyobraźni, serca i duszy... W jednem mgnieniu oka, w jednej sekundzie zarysuje się w myśli ludzkiej całkowity, skończony obraz, którego już potem żadną siłą nie zatrzeć.

W żalu za stygnącem, jak jej się zdawało,

uczuciem Lorenza, opanowała naprzód sercem Stelli chęć nieprzemożona powstrzymania go koniecznie, bądź co bądź, wszelkiemi siłami. Ona nie może wyrzec się tej miłości, która się jej objawiła w tak niezwykłym kształcie, w tak wyjątkowych warunkach!

Z całą przeto namiętnością, z całą natarczywością kochającej do szaleństwa kobiety, poczęła mu robić wymówki, wyrzuty, kruszyć jego serce łzami, podbijać je zalotnością. Ale wymówki drażniły go niepomiernie, że stawał się nieraz ironicznym i szyderczym; drażniły go także łzy, wobec których przybierał maskę chłodu i obojętności, a zalotność oburzała go do tego stopnia, że nie oszczędzał nawet próżności kobiecej i ranił ją nieraz boleśnie.

Oczy Stelli, wielkie, rozszerzone zdziwieniem i lękiem, zwracały się wówczas ku Lorenzowi... i długo, długo patrzyły nań, gdy on w ponurej zadumie milczał.

— Jaki to dziwny, jaki to straszny człowiek!— myślała. — Taki rzewny, taki tkliwy przedtem, naraz jak gdyby skamieniał. Jego miłość była widocznie fantazyą tylko, obłędem wyobraźni, który przeminął... Na mnie dziś nie zwraca najmniejszej uwagi; miłość moja mu ciąży i chciałby się może z jej więzów wyzwolić... O, jakiż to egoista, ten człowiek!...

I nagle, gdy po odejściu Lorenza stała na werendzie, zapatrzona w dal ciemną, z oczu jej popłynęły łzy strumieniem.

— A!... miłość jej, taką ognistą i ofiarną, jakże on podeptał haniebnie!

Żal tych zapałów dla takiego człowieka, żal zmarnowanego uczucia, które się poniża, aby wywo-

łać choć jeden objaw wzajemności; żal marzeń pierwotnych i tego wrażenia, które Lorenzo chłodem swym z każdym dniem coraz bardziej w jej duszy zacierał!

Jakaś rozpaczliwa pustka ogarnęła ją nagle. Całe przeszłe życie stanęło jej przed oczyma i cała gorycz doznanych zawodów spłynęła do serca.

Po pierwszem rozczarowaniu, doznanem przed laty, Stella sądziła, że serce jej zmartwiało zupełnie. Bez lęku rzuciła się w świat szeroki, śmiało szła przeciw niebezpieczeństwom, pewna, że ocaleje tam ńawet, gdzie inne kobiety ginęły. Ile to razy zuchwałem spojrzeniem lub słowem wyzwała do walki uczucie, na które patrzyła czasem z obojętnym uśmiechem, czasem z lekceważeniem lub niechęcią, a czasem, bardzo rzadko, z siostrzanem współczuciem. Artystyczna jej dusza szukała wrażeń, chłonęła je i spożytkowywała na korzyść swego talentu, bez żadnego zresztą uszczerbku. Wrażenie przemijało i Stella pozostawała na miejscu taką samą, jak przedtem: zimną, obojętną, nieczułą.

Kochało się w niej wielu ludzi; znakomite umysły składały jej hołdy; za jej wpływem zrodziło się wiele myśli pięknych i niejeden czyn szlachetny... Mogła być dumną z tego wpływu i z tych hołdów... a przecież to wszystko przyjmowała obojętnie, co najwięcej płacąc życzliwością za miłość. Miała nawet sobie właściwy sposób oddalania uczuć, których nie podzielała i zjednywania sobie wielbicieli, jako braci-przyjaciół. Aksamitna jej, malutka rączka odpychała nie drażniąc; odepchnięty konkurent odchodził może z żalem, ale bez gniewu i powracał jako

przyjaciel; wzdychał wprawdzie, lecz malutką rączkę okrywał pocałunkami, czego mu nie broniono, a gdy odjechał, pisał listy długie, serdeczne i otrzymywał uprzejmą odpowiedź.

Aż nagle ten Lorenzo!... Samą wyjątkowością swojej sytuacyi podziałał na nią w sposób tak gwałtowny, iż Stella nie miała czasu wejść w siebie, gdy już serce jej ognistą zapałało miłością. I do czegoż doprowadziło ją to uczucie, które w zaślepieniu pierwszych uniesień wydało się jej zbawczą deską ratunku wśród apatyi, w jakiej jej dusza tonęła? Do nowych rozczarowań i zawodów...—Lorenzo okazał się egoistą i gorszym fantastykiem od innych

Żaden z dotychczasowych jej wielbicieli nie zapomniał ani na chwilę, co się należy pięknej, młodej i takiej jak ona, niepospolitej kobiecie... Każdy z nich otaczał ją szczególnemi względami, rodzajem kultu, który jej pochlebiał i ujmował jej serce Zwłaszcza jeden... ów znakomity malarz — którego list uległ tak nagłemu zniszczeniu pod wpływem słów i ognistych oczu Lorenza — jaki był zawsze czuły, jaki delikatny i uprzedzający. On, którego imię było na ustach wszystkich, on znany i sławiony powszechnie, klęczał przed nią, ofiarując jej swą miłość. I ona go odepchnęła!..

Jakiś nieprzezwyciężony żal opanował jej serce.. a myśl powtarzała ciągle imię znakomitego artysty, kreśląc w wyobraźni postać jego klęczącą przed nią z wyrazem miłości na ustach.. Stella wzdrygnęła się cała, jakby iskrą elektryczną tknięta..

Dlaczego jej Lorenzo tak skąpił słów miłości, którémi ona poiła się jak nektarem? Jej pieszczotli-

wa, miękka natura, potrzebowała koniecznie czułości wielkiej—a on ciągle chmurny, opryskliwy, niegrzeczny nawet, nieustannie ją odpychał i zrażał.

Dlaczegoż budził jej serce z uśpienia, gdy było zupełnie jak martwe, spokojne... A dziś?... Obudzona raz uczuciem dla Lorenza wrażliwość, nie tak łatwo stępieje... A ona tak go kochała! jego, który był niczem w porównaniu z innymi... Ona dla niego zaniedbała wszystko, nawet na listy nie odpowiada... Dwa listy od malarza leżą zaledwie przeczytane, bez odpowiedzi. A odpowiedzieć trzeba! i to zaraz, długo, serdecznie.

Pośpiesznie weszła do saloniku, przysunęła stolik z lampą do biórka i wzięła listy do ręki... Jakie poczciwe, serdeczne te listy! W jednym z nich zapowiedź przyjazdu do Casamiccioli i prośba pokorna o złożenie hołdu w willi Aurora...

Z gorączkowym pośpiechem biegło pióro po wykwintnym papierze, zdobnym w liście jesienne, kreśląc małe, malutkie literki, z których wiązały się słowa i frazesy, więcej niż kiedykolwiek serdeczne. Ach! ta nieustanna ponurość Lorenza tak jej zaciężyła na duszy, że rozmowa z kimś przyjaznym a pogodnie uśmiechniętym wydała się Stelli odpoczynkiem prawdziwym.

Zapisała cztery stronice, złożyła list w kopertę i zaadresowała; jutro rano musi go sama wyprawić w drogę.

Wstała od biurka, wyciągnęła ze znużenia ramiona i westchnęła głęboko. W głowie jej panował jakiś dziwny zamęt... Usiadła na otomanie i pochyliwszy główkę na miękkie poduszki, przymknęła po-

wieki. Rozpierzchłe myśli stwarzały jakieś nieprawdopodobne obrazy, łącząc dziwacznie wypadki i ludzi. Zdawało się jej ciągle, że widzi przed sobą klęczącego malarza, ale malarz miał twarz i oczy Lorenza i mówił jego głosem... tym głosem z pierwszych czasów, miękkim, pieszczotliwym, upajającym. Stella z uśmiechem promiennym na otwierających się rozkosznie ustach, słuchała tego głosu, słuchała ciągle... aż zcichł zupełnie... rozpłynął się dźwiękiem dumki ukraińskiej, którą śpiewał Lorenzo... Stella usnęła.

A Lorenzo?... On nie spał tej nocy. Błądził samotny po wybrzeżu i głowa pękała mu od tłoczących się nawałem myśli. Czuł, że jest niesprawiedliwym dla Stelli, że za jej miłość taką rzewną i tkliwą, za dobroć jej bez granic, za jej łagodność anielską, z jaką znosiła jego porywy dziwaczne, odpłaca jej najniesłuszniej chłodem, ironią, szyderstwem. A jednak gdyby wiedziała, gdyby przeczuć mogła, ile on cierpiał, zadając gwałt własnemu uczuciu, walcząc z niem zawzięcie, tłumiąc przemocą jego objawy! Gdyby wiedziała, że właśnie wówczas, kiedy usta jego uśmiechały się ironicznie, kiedy chłodem odpowiadał na jej czułe wyrazy, unikając jej wzroku, że wówczas właśnie dusza jego cała rwała się ku niej w uniesieniu namiętnem, że wówczas jedno słowo tkliwsze, niepowstrzymane gwałtem, byłoby wywołało cały potok wynurzeń, że padłby do stóp jej oszalały z miłości i już na wieki przykułby ją do siebie!... A mógłże to uczynić? On, skrępowany niewolnik, obarczony obowiązkami, on ubogi rybak z Casamiccioli, mógłże więzić przy sobie tę cudowną

istotę, stworzoną dla blasków słonecznych? Chyba wówczas, gdyby jej miłość była rzeczywiście tak wierną i stałą, jak jego uczucie, chyba wówczas, gdyby Stella wolała przenieść wszystko, niż tę miłość utracić, gdyby ona mogła jej zastąpić świat i jego rozkosze i jego hołdy i jego pokusy...

Lorenzo wierzył jej uczuciu, a przecież czasem wątpliwości przenikały jego serce zatrutym swym jadem.. Wątpił zwłaszcza wtedy, gdy Stella zaczęła mu opowiadać o swoich tryumfach artystycznych lub światowych, gdy mówiła o hołdach jej składanych— a mówiła o tem zawsze z pewnem zadowoleniem, rzucając co chwila nazwiska brzmiące i znane, szczycąc się przyjaźnią z wielu znakomitościami.

Lecz żadne nazwisko nie wywierało na nim takiego wrażenia, jak nazwisko malarza, wyczytane niegdyś na kopercie, w łodzi, w ów wieczór, gdy po raz pierwszy słowo miłości z ust Stelli usłyszał. Już samo zniszczenie tego listu w tej chwili dało mu wiele do myślenia; toż ilekroć Stella wspomniała o malarzu, tyle razy Lorenzo pochmurniał i wpadał w zadumę. Gdzież jemu stawać do walki z takim współzawodnikiem! Ale Stella śmiała się z jego zazdrości, zapewniając, że z malarzem łączy ją tylko stosunek zażyłej przyjaźni, wspólność zawodu i artystycznych aspiracyj. Lorenzo jednak nie zawsze dawał się przekonać i najczęściej, sposępniawszy jak chmura gradowa, dręczył ją i siebie... A siebie stokroć więcej!...

Nieraz wyszedłszy od niej, czując, że ją zmroził swym chłodem, uznając, że mówił jej rzeczy

przykre i niesprawiedliwemi zarzutami obarczał, wybiegał na wybrzeże i jęczał z rozpaczy szalonej, daremnie szukając wyjścia z sytuacyi, jaką ta miłość stworzyła. Stella umiała się zadowolnić chwilą; on ciągle dręczył się przewidywaniem przyszłości, przeczuciem rozłąki i tracił całe godziny, dnie i tygodnie rozkoszy... A czas, niepowstrzymany w swym biegu, kradł te wszystkie chwile stracone i rzucał je w niezgłębioną przepaść przeszłości.

— Co czynić?—myślał Lorenzo. — Niepodobna, aby prędzej, czy później, nie przeraziła ją ta miłość dla prostego rybaka... Gdybyż wyzwolić się z tych więzów i wrócić do dawnego życia! — ale w jaki sposób?...

Tyle lat minęło, a on się do rodziny swojej nie odzywał wcale; niedawno przypadkiem doszła go wiadomość o jakiejś niewielkiej sukcesyi; zgłosił się wprawdzie po nią, przedstawiając dowody, ale dotychczas nie zajmowała go ta sprawa tak mocno; miał tak małe potrzeby; Amina czuła się zupełnie zadowoloną; a dla dzieci jego może i lepiej było pozostać w sferze, w jakiej na świat przyszły... Ale teraz w tym spadku była cała jego nadzieja! Zapewnićby mógł przyszłość Aminie i dzieciom, przyszłość daleko lepszą od teraźniejszości—a sam, zrzuciwszy z siebie rybacką skórę, poszedłby w świat za Stellą.

Postanowił pojechać co rychlej do Neapolu, gdzie mieszkał adwokat, któremu powierzył tę sprawę, aby go przynaglić. Postanowienie to uspokoiło go nieco; od dawnego czasu po raz pierwszy spojrzał z większą otuchą w przyszłość.

Nazajutrz zrana biegł do willi Aurory, chcąc z planami swemi podzielić się ze Stellą. Zastał ją w saloniku, przygotowaną do wyjścia, w kapeluszu na głowie. Była dziś strojniejszą i piękniejszą niż zwykle—cała zarumieniona i uśmiechnięta.

Przywitała Lorenza swobodnie.

On, widząc ją wychodzącą i taką strojną, zmieszał się dziwnie. Strój jego rybacki wydał mu się dziś bardziej pospolitym, niż kiedykolwiek. Stanął przed nią, nie śmiejąc słowa przemówić; zdawało mu się, że ona patrzy nań badawczym, krytycznym wzrokiem i—wstydzi się go

Nagle rzucił okiem na biurko i dostrzegł porozrzucane papiery, spojrzał na jej rękę i zobaczył list.

— Ten list... — przemówił z trudnością — do kogo?..

Ona zdziwiona, jakby podrażniona tem pytaniem, zawahała się nieco, ale po chwili, z uśmiechem już zupełnie swobodnym, odrzekła:

— List do malarza...

Wymówiła nazwisko ciszej, z mimowolnem drżeniem i spojrzawszy w tej chwili na Lorenza, przeraziła się.

Stał przed nią blady, z zaciśniętemi ustami.

— Nie wysyłaj tego listu! — przemówił głosem stłumionym, widocznie siląc się na spokój.

Rozkaz ten, wygłoszony stanowczo, dotknął Stellę do żywego. Jakto, on śmiał jej zabraniać?... I byłaby odrazu wybuchnęła, buntując się przeciw naciskowi, jaki chciał wywierać, gdyby nie lęk, ja-

kim ją przejmowała gwałtowność charakteru Lorenza i jego wzrok płomienisty.

On w tej chwili patrzył na nią tak, jakby ją przeszyć chciał tym wzrokiem.

— O! jak ja się go boję!... jak on mnie terroryzuje!—pomyślała i wzdrygnęła się cała.

Ale chwila oburzenia przeminęła rychło. Stella miała w swym charakterze niewyczerpane skarby dobroci; łagodność jej pokonywała zwykle szalone porywy Lorenza, toż i teraz spróbowała tej broni.

Rzuciła list od niechcenia na biurko.

— Dobrze — odrzekła spokojnie—nie chcesz, to nie wyślę. Ale pozwól sobie powiedzieć, żem nie zasłużyła na tę dziwną, niewytłómaczoną nieufność. Zapewniałam cię nieraz i jeszcze powtarzam, że z tym człowiekiem łączy mnie tylko przyjaźń szczera... Cenię go wysoko, bardzo wysoko i nie mam zupełnie powodu zrywać z nim stosunków, czegobym nawet wytłómaczyć nie zdołała. On jest moim prawdziwym przyjacielem — dodała z naciskiem — a za przyjaźń trudno, abym płaciła niegrzecznością.

— Prawdziwym przyjacielem!—powtórzył Lorenzo — nie pojmuję tych rozmaitych odcieni uczuć, które w twojem sercu razem się łączą... Przyjaźń dla malarza, przyjaźń dla poety, przyjaźń dla muzyka, i jeszcze ze dwadzieścia przyjaźni; a wreszcie w Casamicciolі przyjaźń dla... rybaka!

Mówił to z ironią piekącą, która spadała żarem na serce Stelli.

Ona milczała.

— Więc nareszcie powiedz mi prawdę!—zawołał znów po chwili z zapałem. — Ja nie znoszę po-

działu; kocham cię miłością szaloną, wyłączną i zazdroszczę każdej twej myśli, która nie jest moją, każdego poruszenia serca, które nie należy do mnie. Kocham cię, Stello, jak cię nikt kochać nie będzie; niema ofiary, jakiejbym dla ciebie nie poniósł; tyś mi duszę moją wzięła!... więc mnie nie łudź i nie dręcz, a powiedz prawdę!...

Głos jego złagodniał nagle; ostatnie słowa wypowiedział prawie błagalnie... Echo tego głosu odbiło się w sercu Stelli, budząc w niem wspomnienia pierwszych chwil tej miłości, gdy Lorenzo był zawsze taki czuły i rzewny.

Łzy zakręciły się w jej oczach... Wyraz jego twarzy był bardzo smutny; on taki nieszczęśliwy, taki samotny w życiu! Cóż dziwnego, że dziwaczył.

Zbliżyła się do niego z rzewnem współczuciem.

— Ależ, Lorenzo, ja ciebie tylko jednego kocham!... — przemówiła, tuląc swą główkę do jego piersi.

Za chwilę Lorenzo wybiegł z willi Aurory, rozpromieniony nadzieją, roztkliwiony, szczęśliwy. Stella stała na werendzie, żegnając go ruchem ręki i słowami:

— Do widzenia!

Lorenzo odwrócił się z drogi, aby ją raz jeszcze zobaczyć i zdało mu się, że na jej ustach dostrzega uśmiech inny niż zwykle, jakby przymuszony. O! nie tak uśmiechały się te usta do niego w pierwszych dniach miłości!...

— Do widzenia, Lorenzo! — wołała Stella — a wracaj rychło!

Rybaka już widać nie było, a Stella stała jeszcze na werendzie, patrząc ciągle za nim. Dziwna tęsknota opanowała jej duszę; tęsknota nie tak za człowiekiem, który zniknął z jej oczu, jak za uczuciem, które w sposób niepojęty łamało się w jej sercu. Uczucie było zrazu silne, upajające, lecz człowiek, który je obudził, zbyt rychło rozczarował ją swemi porywami. Ona znieść nie mogła presyi moralnej, a on ją teroryzował, żądał zerwania wszelkich stosunków, domagał się wyłączności w sposób prawdziwie despotyczny. Jeszcze odchodząc, powiedział jej, aby pamiętała, iż sercem swem rozporządziła już na zawsze... A! szkoda, szkoda, że Lorenzo nie okazał się innym!... szkoda tych uniesień i ofiary, jaką uczyniła dla niego... Co świat na to powie? potępi ją i gorzej niż potępi, bo szydzić będzie z tej miłości dla rybaka. Któż wie, że ten rybak równy jej urodzeniem, kto zna jego prawdziwe nazwisko?... I cóż za przyszłość!... Sytuacya anormalna — a ona nie czuje się na siłach podjąć walki z opinią, ze światem, z rodziną własną, która i tak te jej ekscentryczne, samotne podróże potępia... Więc trzeba zerwać!...

Wyraz „zerwanie,“ jak ostrze sztyletu przeniknął jej serce. Nagle przyszła jej na myśl pierwsza wycieczka na morze z Lorenzem.. jego opowieść, która na nią tak dziwne wywarła wrażenie, jego słowa przejmujące rzewnością... Dusza jej cała napełniła się łzami. Uciekła do pokoju, rzuciła się na łóżko i ukrywszy twarz w poduszki, wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Coś rwało się i pękało w jej ser-

cu — jakieś nagłe niepojęte przeobrażenie dokonywało się w jej organizmie moralnym... Zdawało się jej, że z temi łzami ucieka z jej duszy cała dawna, promienna miłość dla biednego rybaka...

Kilka dni minęło, a Lorenzo nie wracał. Dnia pierwszego Stella oswoić się nie mogła z jego nieobecnością; tęsknota nie dawała jej chwili spoczynku, ani grać, ani malować nie była w stanie; czytając książkę, nie rozumiała wyrazów i odrzucała ją z niechęcią; myśl jej biegła za Lorenzem.

Ale to trwało niedługo; w tej ciszy i osamotnieniu, jakie ją otoczyło nagle, zaczęła niebawem doznawać błogiego uczucia spokoju... serce jej, dręczone nieustannie ponurą zadumą Lorenza i szukaniem przyczyn jego zobojętnienia — wypoczywało. Na drugi dzień wzięła się gorączkowo do roboty i malowała długo z dawno niedoznawanym zapałem... Nie było Lorenza i smutek jego ponury nie ciężył jej na duszy... Codziennie odtąd było jej swobodniej i milej.

Wieczorem dnia jednego wyszła na przechadzkę, Czas był prześliczny, po ulicach Casamiccioli snuły się tłumy; Stella, szukając samotności, zeszła aż na samo wybrzeże i poszła daleko małą ścieżyną, nie patrząc przed siebie w zamyśleniu. Gdy podniosła głowę, ujrzała na wzgórku dworek ocieniony drzewami, nędzny bardzo, z małemi oknami i ganeczkiem, przed którym w tej chwili stała młoda jeszcze kobieta. To dworek Lorenza... pokazywał on go jej kiedyś zdaleka, ale nigdy nie przyszła jej chęć zobaczenia go bliżej — czuła, że wrażenie mogłoby być fatalne i chciała tego uniknąć.

I teraz wielkim bólem ścisnęło się jej serce. Mój Boże, ten człowiek przywykły do innego otoczenia, z duszą taką poetyczną, z umysłem tak szerokim, mógł wytrzymać tyle lat w tem nędznem mieszkaniu!... A ta kobieta, cóż to za pospolita istota!

Promienie zachodzącego słońca padały na rumianą twarz Aminy i pozwalały Stelli rozeznać doskonale jej rysy... Zbliżyła się jeszcze bardziej; jakaś nieprzemożona ciekawość kazała jej pomimo woli przypatrzeć się tej kobiecie, krępującej wolność człowieka, którego ona — Stella — kochała.

I to jest owa kobieta, którą Lorenzo żoną nazywał. To byłoby śmieszne, gdyby tragicznem nie było... Wpół tylko ubrana, z rękawami od koszuli wysoko założonemi, Amina zajęta była widocznie porządkiem domowym; w tej chwili myła stół drewniany, wysunięty na dziedziniec przed dworkiem. Ręce jej żylaste, czerwone, posuwając się wzdłuż i wszerz stołu, migały przed oczami Stelli, a do jej uszu dochodził donośny głos żony rybaka, karcący dzieci za swawolę. Dzieci bose, w bieliźnie brudnej, krzycząc biegały przed domem!

Wzrokiem sztywnym, jakby przerażonym, patrzyła Stella na ten obraz domowego szczęścia Lorenza i z miejsca ruszyć się nie mogła. Pragnęła uciec co rychlej, ale sił jej nagle zbrakło. Stała tak długo, wpatrzona w tę kobietę o rysach pospolitych, tłustych, czerwonych, z głową zawiązaną chustką kraciastą, z pod której wymykały się włosy w nieładzie, myjącą żylastemi rękami stół drewniany.

Więc to Amina, żona Lorenza? — a te brudne, krzyczące dzieci, to jego potomstwo?... I ona —

Stella — mogła się do tego stopnia poniżyć, aby stanąć jako współzawodniczka tej kobiety w sercu jej męża!... Lorenzo jej mężem! To zdawało się Stelli tak potwornem, iż własnym oczom wierzyć nie chciała... Jak on mógł wytrzymać lat tyle w takiem upośledzeniu? przecież w gruncie natura tego człowieka musi być bardzo pospolitą, skoro mógł przyjąć i znosić życie w takiem otoczeniu! To, co dawniej wydawało się jej szczytną rezygnacyą, zaparciem się samego siebie, to oburzyło ją teraz. A może mu wygodnie wśród takiego życia, w którem brak wszelkich wyższych aspiracyj usuwa wiele trosk, zawodów, kłopotów?... może to wszystko, co Lorenzo mówił, na co się skarżył, nad czem ubolewał — to wszystko było tylko dobrze odegraną komedyą?...

W tej chwili Amina, skończywszy mycie stołu, wyprostowała się, podparła obu rękami i tak chwilę odpoczywając, stała o kilkanaście kroków od Stelli, jakby się jej przedstawić chciała w całym blasku swej pospolitości. Potem ziewnęła głośno, podgarnęła pod chustkę wymykające się włosy i porwawszy stół w silne swe ramiona, wniosła go do wnętrza dworku.

Przyśpieszonym krokiem, z głową w dół spuszczoną, z sercem boleśnie ściśniętem, wracała Stella do domu. Ona o tej Aminie i tych dzieciach Lorenza nie myślała prawie nigdy; w jego obecności, słuchając słów jego, zapomniała zupełnie, że on nie jest wolnym. Pamiętała tylko o tem, że jest nieszczęśliwym, że w chwili rozgoryczenia nałożył na siebie więzy, które go odgradzały od życia, do jakiego był stworzonym, że należało go natchnąć odwagą, pobu-

dzić do czynu i właściwej mu pracy, nie dać zmarnieć na nieodpowiedniem, mizernem stanowisku. O tem tylko myślała Stella, idąc za głosem uczucia, którem rozgorzało jej serce. A dziś, jakże inaczej przedstawia się jej rzeczywistość! Miłość, która zrazu zdawała się tak promienną, nie przyniosła ani jej, ani Lorenzowi szczęścia; on był posępny i ponury, a ona płakała jak jeszcze nigdy w życiu i czuła się upokorzoną nad wyraz.

Teraz, wróciwszy do siebie, nawet płakać nie mogła... Chodziła po pokoju, łamiąc ręce z rozpaczy. Obraz Aminy, stół myjącej, stał przed jej oczami... Przypomniał się jej także Lorenzo, jak odchodził od niej po raz ostatni — w stroju rybackim wydał się jej niezgrabnym, prawie równie jak Amina pospolitym; przypomniał się jej także ów wieczór, gdy chciała mu zapłacić za przejażdżkę po morzu... Wzdrygnęła się.

— Brrr! jakież to wszystko niesmaczne!...

I ten człowiek rościł sobie jakieś prawa, dopominał się wyłączności uczuć i myśli! Nie, to niepodobna! Ona musi się wyzwolić z pod władzy tego człowieka, który ją przeraża. Trzeba raz z tem skończyć... napisać do Lorenza.

Zbliżyła się do biurka, gdy wtem wzrok jej padł na drzwi od werendy otwarte. Spojrzała i krzyknęła radośnie. W drzwiach stał z czułym uśmiechem na ustach — malarz-artysta...

— Nachodzę panią znienacka — rzekł. — Nie otrzymawszy na dwa listy odpowiedzi, byłem prawdziwie niespokojny, co się z naszą gwiazdą stało i tylko co przybywszy, pośpieszyłem...

Stella zarumieniona podbiegła ku niemu i podała mu obie rączki, które on natychmiast do ust poniósł.

— Ach, jakaż ja szczęśliwa, że pana tu widzę! — zawołała.

I potoczyła się rozmowa żywa, swobodna, wesoła. Stella zapomniała nagle o wszystkiem, co ją przed chwilą gnębiło, zapomniała o Lorenzu i Aminie, a oddała się całkowicie radości, jaką przybycie przyjaciela ją napełniało. Przy nim uczuła się bezpieczniejszą, pewniejszą siebie.

Malarz poznał odrazu, że trafił na chwilę dla siebie pomyślną; jeszcze mu się nigdy nie zdarzyło, aby Stella była dlań tak serdeczna. Zapytał o dalsze projekta.

— A! — odrzekła Stella zmieszana nieco — trzeba wracać do kraju. Rodzina moja, która raz na pół roku cierpi na czułość dla mnie, domaga się gwałtownie mego powrotu, niespokojna, co też robić mogę tyle miesięcy w Casamicciolі.

— Przyznam się pani — odrzekł malarz — że to niejednego dziwi.

— Dlaczego? — przerwała żywo Stella. — Potrzebowałam ciszy, spokoju, wytchnienia... i znalazłam wszystko tu... Nie zmarnowałam zresztą czasu wcale. Pokażę panu jutro, ile nowych powstało szkiców, a nawet jeden obraz prawie już skończyłam... Wszakże już mam dosyć tej ciszy... chciałabym jeszcze zatrzymać się we Florencyi, gdzie studya moje przerwałam, a potem może jaka mała wycieczka dla wytchnienia... a potem już wracać trzeba.

— Ależ to się doskonale składa! — zawoła ar-

tysta — bo i ja także mam zamiar do Florencyi się skierować... Jeśli mnie pani raczy przyjąć za towarzysza podróży...

— Czy pan potrzebujesz pytać o to? — odrzekła Stella, patrząc na niego wymownie.

Malarz ujął rączkę, której nie broniono i pieścił ją pocałunkami. Paluszki wyginały się pod naciskiem ust jego i rozszerzały rozkosznie.

Za chwilę żegnał Stellę, która go wyprowadzała aż na schody werendy.

— Zatem do widzenia! jutro! — mówiła — a pojutrze wyjeżdżamy.

Po tej swobodnej chwili, która tak rychło minęła, gnębiące myśli z tem większą natarczywością opanowały jej sercem. Ale wahania już żadnego nie było. Wyrok na Lorenza zapadł stanowczo i nieodwołalnie. Stella usiadła przy biurku, aby list do niego napisać. Ale co ona mu powie, co napisze? Wzdrygała się przed kłamstwem i obłudą; pragnęła mu wypowiedzieć prawdę, całą prawdę, ale zarazem lęk dziwny opanowywał ją całą. Uznawała się winną w sumieniu; onby się był nigdy nie poważył zbliżyć do niej, gdyby nie jej wyznanie, które mu sama uczyniła z wolnej i nieprzymuszonej woli. Ale czyż i ona winna temu, co się stało w jej sercu? Coś się w niem przeobraziło po tych łzach, wylanych w dzień wyjazdu Lorenza, wskutek jego porywów i tej ponurej zadumy, w którą zapadał, a która ją drażniła, wskutek zwłaszcza jego despotyzmu i wymagań.

Pióro biegło szybko po papierze, ubierając w najłagodniejszą formę okropną prawdę. Łzy kręciły się

w oczach Stelli. Bądź co bądź, to nie tak łatwo zerwać tę nić, którą serce w chwili uniesienia wyprzędzie. A gdyby on po otrzymaniu tego listu jaki krok szalony zrobił?... Onaby umarła z rozpaczy.

Twarz Stelli pałała gorączką, ręce drżały, rozbolała ją głowa szalenie. Nie skończywszy listu, chora, położyła się do łóżka, ale gnębiona trapiącemi myślami zaledwie dopiero nad ranem usnęła.

Nazajutrz wieczorem Lorenzo powrócił, a powrócił rozpromieniony i szczęśliwy jak nigdy. Sprawa sukcesyi w bardzo krótkim przeciągu czasu skończoną być mogła. Bez wielkich zachodów i kosztów otrzymać miał skromną sumę pieniężną, wystarczającą do zapewnienia utrzymania żonie i dzieciom. Mógł przeto wrócić do dawnego życia, które mu teraz znów uśmiechać się zaczęło.

On dla siebie nic nie wymaga... odda wszystko Aminie i dzieciom, a sam zacznie pracować na innem, odpowiedniem polu. Tam, gdzie Stella osiądzie, gdzie założy swoją artystyczną pracownię, o której mu mówiła, czy to we Florencyi, czy Neapolu, lub Rzymie, tam i on się umieści, chociażby na najskromniejszem stanowisku. Ale będzie odtąd żył duchem, będzie się kształcił, wynagrodzi czas stracony i stanie się jeszcze pożytecznym w społeczeństwie. Przecież w swej duszy czuje zapał młodzieńczy, w umyśle powstają myśli jasne, piękne, które przemocą tłumił dotychczas, a które za dobroczynnym wpływem Stelli rozbudziły się i rozwinęły.

O! jakże on jej jest wdzięcznym, jak ją kocha, czci, uwielbia!...

Wszystko, co piękne, co szlachetne było w je-

go sercu, to wszystko ona ożywiła swem tchnieniem. On teraz wszystkie obowiązki swe spełni z rozkoszą; zajmie się z rozkoszą starannem wychowaniem dzieci, Aminie także krzywdy nie zrobi, będzie się nią opiekował zawsze, będzie dla niej dobrym i wyrozumiałym.

Z bijącem sercem zbliżał się do willi Aurory, a tak był w myślach zatopiony, że nie uważał nawet, iż cały dziedziniec zajęty był drewnianemi skrzynkami i kuframi, w które służba pakowała obrazy i rzeczy. Stelli nie było w domu...

Wszedłszy do saloniku, gdzie tyle rozkosznych miał wspomnień, Lorenzo zwrócił dopiero ze zdziwieniem uwagę na pewien niezwykły w nim nieład. Na stoliku, otomanie i biurku leżały pootwierane kuferki i torby podróżne... Czyżby Stella wyjeżdżać miała? Jakieś okropne przeczucie przeniknęło mu duszę. Zbliżył się do biurka i na samym wierzchu spostrzegł list niedokończony... jego imię wpadło mu w oko.

„Siły moje okazały się zbyt słabemi, Lorenzo!“... mimowolnie przeczytał.

Było to, jakby powtórzenie słów dawniej, bardzo dawno słyszanych, a krwawo wypisanych w jego sercu... Niezdolny już zapanować nad sobą, czytał dalej:

„Bądź dobrym dla mnie, jak ja byłam dla ciebie. Obudziłam twą duszę z uśpienia, ale ty mojej nie zrozumiałeś. Dałeś mi gorycz i łzy, gdy ja pragnęłam czułości i wyrozumienia. Nie potępiaj mnie, zrozumiej i—przebacz... Jam nie winna temu, co się w mej duszy dzieje... Teraźniejszość mnie gnębi,

a przestrzeń nęci; ku niej wyciągam ramiona, bo w niej widzę wszystko, co memu rozgoryczonemu sercu dać jeszcze może promienniejsze chwile w życiu...“

Już nie czytał dalej.. nie mógł czytać. Wszak to dlań było zupełnie wystarczającem — te pakunki i list ten wyjaśniały wszystko! Ale co się stało, co się stać mogło w tak krótkim przeciągu czasu? Pożegnał ją czułą, kochającą — zastaje zmienioną zupełnie.

Nieopisany zamęt powstał w jego głowie; myśli plątały się i rozpierzchały jak spłoszone ptaki, serce bić przestawało, pot zimny wystąpił na czoło.

— Ratuj mnie, Boże! — krzyknął i wybiegł z willi Aurory ku morzu.

Nagle, gdy tak nieprzytomny pędził, usłyszał w oddali dwa głosy i śmiech szczery, serdeczny, który znał dobrze.

Odwrócił się, spojrzał i poznał odrazu. Drogą ku willi szła Stella, wsparta na ramieniu malarza, który pochylony ku niej, mówił coś z ożywieniem wielkiem.

A ona się śmiała, śmiała się tak serdecznie, gdy on cierpiał jak potępieniec!...

Uciekł, aby nie słyszeć tego głosu i śmiechu tego, uciekł nad morze... Było niezwykle dnia tego wzburzone... olbrzymie fale, groźne, spiętrzone dążyły ku brzegom na wyścigi i z hukiem a szumem rozbijały się o wybrzeże. Ryk fal morskich odpowiadał burzy, jaka w jego duszy szalała... Wsłuchiwał się w tę walkę wichrów, poił się harmonią dziką rozszalałego żywiołu i dziwił się sobie, że stoi taki milczą-

cy i na pozór spokojny, gdy dusza jego stokroć bardziej wzburzona niż toń tego olbrzymiego morza.

Z początku rozpacz tak go przytłoczyła swoim ciężarem, że nie był w stanie rozpoznać, jakie uczucie w jego sercu przeważało. Czy żal? czy nienawiść? czy chęć zemsty wyjdzie z tego zamętu? O tak! żal wieczysty i nienawiść do tej kobiety, która tak zadrwiła z jego uczuć gorących a szlachetnych... on jej ciśnie w oczy pogardą, albo może ukarze ją lekceważącem milczeniem... Och! nienawiść, żądza zemsty, jakież to okropne, jakie przygnębiające uczucia! Stokroć lepiej przebaczyć.

I nagle myśl Lorenza pobiegła za Stellą... Co się z nią stanie po tem zerwaniu? W co się obróci ten wypieszczony w jego sercu ideał? Ona była zawsze taka dla niego dobra, taka anielska i szlachetna, pogarda lub zemsta z jego strony popchnęłaby ją w przepaść... Ona chyba sama nie wie, co czyni... Z niewygasłem uczuciem w sercu, z żądza nowych wrażeń, ze wspomnieniami tej ostatniej a tak gorącej miłości, pójdzie w przestrzeń A czyż się oprzeć tam zdoła pokuszeniom i obłędom wyobraźni?... Któż ją tak ukocha, jak on ją kochał, kto ją taką czcią i uwielbieniem otoczy? A! nie, on ją musi ocalić! chociażby kosztem krwi własnej, choćby wbrew jej woli?...

I z chosu jego myśli wydobywało się jasno mocne postanowienie:

— On musi się z nią widzieć i raz jeszcze rozmówić! A potem niech — niech się co chce stanie!...

Ściemniło się już zupełnie; burza szalała coraz gwatłowniej. Lorenzo skierował się ku willi Aurory

Drzwi parterowe były zamknięte, ale przez wielką szybę szklaną padała smuga czerwonego światła od lampy na klomby i krzewy i zbladłym promieniem rzucała się pod nogi Lorenza. On stał właśnie na tem samem miejscu, jak wówczas, gdy raz pierwszy odprowadzał Stellę z wycieczki na morze... Jakaż to przepaść oddzielała go od tej chwili! cały raj upojenia i niezgłębiona otchłań rozpaczy... Wnętrze saloniku dostrzegał wybornie: dwa cienie przechadzały się zwolna i zatrzymały u drzwi samych; ten wysmukły, wiotki cień — to ona! Wyciąga obie rączki... pochyla się czule!...

Czołgając się na klęczkach, przysunął się Lorenzo tak blizko ku drzwiom, że mógł widzieć wszystko dokładnie... Jaka ona piękna w białej sukni, z kwiatami we włosach!... jak uśmiecha się rozkosznie!...

Ach, ten uśmiech! ten uśmiech! on pozostał w duszy Lorenza niezatartem wspomnieniem...

Jeszcze jeden uścisk dłoni, długi, serdeczny, jeszcze jeden uśmiech... i malarz już odchodził. Lorenzo ukrył się w cieniu; drzwi się otwarły i zamknęły, nagle zatrzaśnięte wichrem. Malarz zbiegł szybko po schodach i zniknął w ciemnościach.

Lorenzo powstał z ziemi, zbliżył się do drzwi i spojrzał.

Stella stała przy biurku odwrócona. On pchnął drzwi silnie i razem z gwałtownym podmuchem wichru wpadł do wnętrza.

Stella zwróciła się szybko, spojrzała i krzyk zamarł w jej piersi. Pochyliła się wstecz, obiema rękami opierając się o biurko.

Lorenzo stał przed nią, drżący, cały obryzgany błotem... Wzrok jego ciskał iskry.

Ona w niemem przerażeniu, rozszerzoną lękiem źrenicą patrzyła na rybaka, który obłąkanym się zdawał.

— Stello! — wyszeptał Lcrenzo przez zaciśnięte zęby.—Stello, cóżeś ty uczyniła!... Jest-że to prawdą, powiedz... że opuszczasz mnie, że wyjeżdżasz?...

Ona czuła, że mówić potrzeba, że należy łagodnem słowem uspokoić rozpacz tego człowieka, ale ze ściśniętej krtani żaden dźwięk wydobyć się nie mógł.

Długą chwilę trwało okropne milczenie.

— Lorenzo — wyjąkała nareszcie — uspokój się na miłość boską!... chciej mnie zrozumieć.

— O, ja cię rozumiem dobrze! — zawołał — rozumiem cię lepiej, niż ty sama siebie... i słuchaj, ja cię pomimo twej woli ocalę! Ukochałem twoją duszę i nie dam jej na stracenie; wolę sam przepaść marnie, niżby ona zginąć miała!...

Zbliżył się do niej i ujął za rękę.

— Stello! — rzekł — nie bój się mnie, nie lękaj. Rozpacz na chwilę obłąkała mnie, ale otom spokojny... Jeszcze dwa słowa tylko ci powiem. Chcesz iść z tym malarzem, którego zwiesz przyjacielem swoim; nęci cię nowe wrażenie i ta przestrzeń mglista, niepewna, którą ci on wskazuje w artystycznych wędrówkach... Otóż nie pójdziesz z nim i nie pójdziesz z nikim... Ja ciebie ocalę! i takiem wspomnieniem rozścielę się na drodze twojej, że chyba przez nie... nie przejdziesz!

Puścił jej rękę, która opadła bezwładnie i od-

szedł ku drzwiom; raz jeszcze odwrócił się, spojrzał na bezmowną Stellę i wybiegł.

— Dlaczego głos jego był taki dziwnie spokojny, a taki przerażający, stanowczy? O jakiem wspomnieniu on mówił, które ma na mej drodze stanąć?... Boże, Boże! coś okropnego chce uczynić ten człowiek!...

Stella nieprzytomna, oszalała z trwogi, rzuciła się do drzwi i wybiegła na werendę. Wicher szalał z coraz większą gwałtownością; nieprzebite ciemności zalegały dokoła.

— Lorenzo! Lorenzo! — wołała Stella.

Ale głos jej niknął wśród burzy, ryku fal i wichru.

Lorenzo tymczasem biegł ku domowi. W oknach dworku świeciło się jeszcze, ale wszyscy już spali. On wszedł i u progu przystanął. Patrzył chwilę na uśpioną Aminę i zbliżył się do łóżeczek dzieci. Młodszy synek obudził się i zobaczywszy ojca, krzyknął z przerażenia. On go tak rzadko widywał, a zawsze lękał się go tak bardzo!

Lorenzo dłoń swą położył na jego czole i zwolna pogładził.

— Śpij, dziecino biedna! — przemówił rzewnym głosem.

Głuche łkanie pierś mu podniosło... Ale nie chcąc się snać roztkliwiać, szybko się odwrócił i zbliżył do stołu. Wyjął z zanadrza dokumenta, zapewniające spadek, które mu adwokat doręczył, i wsunął je pod poduszkę żony, poczem pochylił się nad Aminą, ucałował ją w czoło i jeszcze chwilę dumał, rozglądając się po kątach tego dworku, w którym tyle lat życia jego upłynęło.

Chciał już wychodzić, gdy wzrok jego padł na kopię Madonny del Granduca... Oczy mu nagle zabłysły; zbliżył się szybko do ściany, zdjął obraz, ujął silnie pod ramię i wybiegł, nie zwlekając dłużej.

Biegł w stronę, gdzie u pomostu, przyczepiona na łańcuchu kołysała się „Iskierka“ Gorączkowo odpiął łańcuchy i wskoczył do łodzi, która, porwana falami, wnet oddaliła się od brzegu. Lorenzo uchwycił się żaglowego pala i stanął, trzymając w ręku obraz Madonny... Łódź, jak łupina orzecha, kołysała się na falach, to wznosząc się do góry, to zapadając w otchłań.

Jakieś głosy przechodzących rybaków ozwały się z brzegu... jeden z nich dostrzegł łódkę walczącą z falami i krzyknął... Wnet zbiegli się inni... naradzano się, w jaki sposób ratować jadących tą łodzią, która to zbliżała się do brzegu, to znów niknęła w ciemnościach.

Nagle na schmurzonem tle horyzontu zamigotał jakby sztandar biały... Szaleniec prawdziwy wioślarz, co tą łodzią steruje!... Oba żagle rozpiął i wyzywa wichry do walki zuchwale... zginie niechybnie...

Stella długo stała na werendzie, wołając napróżno Lorenza.

Wróciła do pokoju, usiłowała uspokoić okropne przeczucia, które ją dręczyły, lecz napróżno... Zdawało się jej ciągle, że Lorenzo wszedł do salonu, że słyszy głos jego... to znów jakieś krzyki przeraziły ją nagle.

Wstała z łóżka, ubrała się, szal narzuciła na siebie i wyszła na werendę.. Krzyki nie były złudzeniem! Jacyś ludzie, których w cieniach nocy do-

strzedz nie można było, biegli brzegiem i wołali rozpaczliwemi głosy, a w oddali na czarnej przestrzeni morza i pochmurnem tle horyzontu migotał czasem jakby jakiś sztandar biały, niesiony wichrem gwałtownie...

I naraz — wszak to było złudzenie — wydało się Stelli, że wicher przynosi jej stłumioną, przerywaną jak łkanie nutę dumki ukraińskiej, którą śpiewał Lorenzo:

U susida chata biła
U susida żinka myła
A u mene ni chatynki,
Ani szczastia...

Łuna błyskawicy rozdarła w tej chwili niebo i oczom Stelli ukazała się wyraźnie łódź z rozpuszczonemi żaglami białemi, kołysząca się na wzburzonych falach.

Żagle zachwiały się gwałtownie, złamały i znikły.. .

Gdy druga błyskawica rozjaśniła niebo, na całej przestrzeni morza nie było już nic widać, prócz fal spiętrzonych...

Stella z głuchym jękiem upadła zemdlona na ziemię...

* * *

Nazajutrz rano martwe zwłoki Lorenza leżały na piasku, opodal willi Aurory. U zwłok tych klęczała we łzach Amina, a zdala stała nieruchomo w nie. wpatrzona Stella, z załamanemi rękami.

Okropne wspomnienie rozesłało się już przed nią....

Białe czoło Lorenza, okryte bujnemi włosami, było rozpogodzone dziwnie; oczy otwarte, zamglone, nie siały już iskier; w skrzepłej dłoni trzymał kurczowo zaciśnięty ukochany swój obraz: kopię Rafaelowskiej Madonny. Stella stała tak długo, bez łez i jęku, a potem odeszła zwolna. W godzinę opuściła Casamicciolę. Wróciła do kraju, zaniechała ekscentrycznych wędrówek... i w przestrzeń nie poszła.

Gdy malarz przybył w umówionym czasie do willi Aurory, zastał ją pustą... Z ogromnem zdziwieniem dowiedział się o nagłym wyjeździe Stelli, który po dziś dzień pozostał dlań zagadką. A on tyle sobie obiecywał po wspólnej z nią podróży!

Wracając do siebie w bardzo złym humorze, ujrzał zbiegowisko ludzi na brzegu. Zbliżył się i dowiedział o wypadku. Z ciekawością przypatrywał się zwłokom.

— Piękna twarz tego rybaka — mruknął.

I wziąwszy ołówek do ręki, zrobił szkic, z którego potem powstał słynny obraz, znany na wystawach.

Kupiła go Stella i nie rozłącza się z nim nigdy.